

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



1

(81) 2015

O Polskim Radiu Lwów i Wesołej Fali – teksty K. Jasiewiczza, T. Fabiańskiego, J.K. Petrego, T. Steca i rozmowa z T. Pakosz ♦ Homilia na 96. rocznicę Obrony Lwowa 1918 ♦ Lwowianin patronem Hufca ZHR w Krakowie ♦ Poezja i proza ♦ Nowe książki ♦ Pochwały dla „Cracovia-Leopolis”

POLSKIE RADIO LWÓW ŻYJE W PAMIĘCI

Po niezapomnianym dr. Tadeuszu Krzyżewskim pozostał nam maszynopis wspomnień Tadeusza Fabiańskiego (związanego z Radiem Lwów przed i w czasie II wojny), zatytułowanych *Sylwetki falowców*. Chodzi tu oczywiście o Lwowską Wesołą Falę, sławną w całej Polsce w latach międzywojennych, a później na emigracji w Szkocji i Anglii.

Równocześnie dostaliśmy od Rodziny pp. Petrych wspomnienia dra Jana Krzysztofa Petrego o jego ojcu Juliuszu, który przez dużą część tegoż okresu międzywojennego kierował rozgłośnią lwowską.

I trzeci ciekawy artykuł pochodzi od Stanisława Steca, który w 1989 r. w „Gazecie Krakowskiej” ogłosił obszerny tekst o Lwowskiej Fali, czyli Czołówce Teatralnej nr 1 Wojska Polskiego – z czasu jej aktywnego pobytu w Wielkiej Brytanii. Szkoda, by został zapomniany.

Te trzy teksty narzuciły nam pomysł, by niniejszy numer naszego kwartalnika (CL 1/15) poświęcić głównie tematyce lwowskiego Radia. Nieoczekiwanie pojawiły się dwa kolejne materiały, których zadaniem byłoby wzięcie w historyczne ramy wyżej wymienione trzy teksty.

Pierwszy, autorstwa Krzysztofa Jasiewicza, wybraliśmy z nowo wydanej, niezwykle ciekawej książki *Polskie Radio na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej* (Warszawa 2014). Tekst ten wprowadza nas w dzieje kultury i problematykę radia, powstającego na ziemiach, związanych głównie z Małopolską Wschodnią, Wołyniem, wschodnim Podlasiem, Wileńszczyzną. Drugi – o teraźniejszości – to rozmowa z Teresą Pakosz, która prowadzi dziś Polskie Radio Lwów w odciętej Małopolsce Wschodniej. W ten sposób powstaje cały blok radiowy (choć o wiele skromniejszy od wspomnianej profesjonalnej książki) dostępny zainteresowanym (niemłodym) Czytelnikom, których nie stać na nabycie owej świetnej, lecz dość kosztownej książki. Co nie znaczy, byśmy ich nie namawiali do takiego zakupu!

Potem dalsze, rozmaite tematy – najpierw związane z obchodem minionej 96. rocznicy Obrony Lwowa 1918 r., a dalej nominacja „belwederska” historyka ks. prof. Józefa Wołczańskiego. Potem o całkiem innej nominacji: lwowianina zamężonego przez okupantów – na patrona Hufca ZHR w Krakowie. I jeszcze dalsze aktualne tematy.

A na sam koniec zostawiliśmy sobie krótki wybór „pochwalnych” listów, jakie często dostajemy. Sprowokował to świeżo otrzymany, szczególnie list dwóch Pań Czytelników z Warszawy.

Na koniec pozwalamy sobie złożyć serdeczne podziękowanie Osobom, które pozwoliły nam na wykorzystanie materiałów *radiowych* w tym numerze, a to przede wszystkim Panu Profesorowi dr. Marcinowi Fabiańskiemu, wnukowi Tadeusza Fabiańskiego, oraz Panu Dyrektorowi dr. Andrzejowi Budzyńskiemu i Panu Profesorowi dr. Krzysztofowi Jasiewiczowi, którzy zredagowali wspomnianą książkę o Polskim Radiu. Dziękujemy oczywiście wszystkim Autorom.

Redakcja

Na l s. okładki

Anteny Polskiego Radia na Placu Powystawowym, lata międzywojenne



Afisz Polskiego Radia Lwów. Grafika K. Terleckiego, 1939.
Zdjęcia pobrano ze strony www.historiaradia.neostrada.pl

Kresy Wschodnie jako terytorium realizacji misji Polskiego Radia

Kontekst polityczny, narodowościowy, społeczny, ekonomiczny i kulturowy

Fragment książki „Polskie Radio na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej”, wykorzystany za zgodą Autora i Wydawców

Pojęcie „Kresy” pisane zarówno wielką, jak i małą literą, bez przymiotników, miało w ostatnich dwóch wiekach różne znaczenia dla różnych pokoleń. *Kresy to moja prywatna mała ojczyzna* – pisze znakomity historyk – [...] *Na ziemiach rodzinnych nigdy nie byłem. Nie wiem nawet, czy chciałbym je odwiedzić. W końcu wystarcza, że widzę je. Gdzie? Przed oczyma duszy mojej.*

Ziemie wschodnie dawnej Rzeczypospolitej były, są i zapewne będą miejscem magicznym na Ziemi dla kolejnej generacji Polaków. Wspominamy je z nostalgią przy rozmaitych okazjach, zachwycając się ich urodą, skomplikowaną historią, mozaiką zamieszkujących je narodów i ich kultur, bogactwem nurtów intelektualnych i życia religijnego. Ten niemający sobie równych idylliczny raj runął w gruzach zaraz po 17 września 1939 roku i został doszczętnie zniszczony przez trwającą 21 miesięcy i 5 dni okupację sowiecką, a stan ten dopełniły późniejsza okupacja niemiecka i kolejna sowiecka po 1944 roku.

Czarowi tamtych ziem ulegali także cudzoziemcy. Dzięki Amerykance Louise Arner Boyd i jej wielkiej pasji dokumentowania swoich podróży, w tym po polskich Kresach, za pomocą aparatu fotograficznego, jeszcze dziś jesteśmy w stanie docenić urokliwe widoki, dawny styl życia i obyczaje nieistniejącego już świata, który nam pozostawiła, jednocześnie rozślawiając piękno tamtej Polski daleko poza naszymi granicami. Przypomina mi się moja podróż przez Polesie gdzieś w początkach lat 90., gdy w wyobraźni tkwiły mi fotografie Boyd, które konfrontowałem ze zdewastowanymi – przez dziką meliorację i wycinki – krajobrazami posowieckiego

Polesia, przypominającego momentami trawiastą pustynię, pozbawioną jakichkolwiek elementów związanych z przeszłością.

Owe zauroczenia są także doskonałe widoczne od twórczości literackiej po artystyczną, mamy z nimi kontakt od wczesnego dzieciństwa i początków naszej edukacji:

*Litwo! Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie;
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej
ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.*

– pisał wieszcz.

[...] *Zima tęga przykryła Żmudź świętą grubym na łokieć, białym kozuchem; lasy gięły się i łamały pod obfitą okiścią, śnieg olśniewał oczy w dzień przy słońcu, a nocą przy księżycu migotały jakoby iskry niknące po stężale od mrozu powierzchni; zwierzę zbliżało się do mieszań ludzkich, a ubogie, szare ptactwo stukalo dziobem do szyb szadzi i śnieżnymi kwiatami okrytych* – pisał inny geniusz polskiej literatury w powieści ku pokrzepieniu serc.

Wiele miejsca zajęły Kresy w prozie Marii Rodziewiczówny, miejsce akcji jej powieści to przeważnie Polesie, Żmudź czy Grodzieńszczyzna. *Miasteczko było – jak setki na „kresach”. Rynek – w środku kwadrat kramów, jaskrawa cerkiew, zaniedbany kościół, w okrag domy żydowskie i rozcho-dzące się w cztery strony świata uliczki mieszczańskie, kończące się błotnistymi lub piaszczystymi drogami w dalekość pustego kraju. Ozdobę stanowiło bezkresne jezioro i stare lipy otulające kościółek i plebanie* – pisała w jednej z powieści. Specyfika Kresów i ich urody stanowi o sile powieści Sergiusza Piaseckiego.

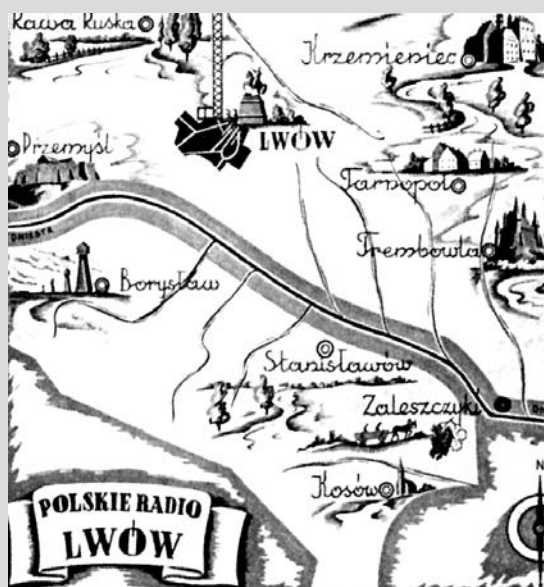
Z fascynacji Kresami zrodziły się również wybitne obrazy. I tak w twórczości Jana Matejki (malarstwo historyczne), jak *Iwan*

Groźny, Unia lubelska, Stańczyk w czasie balu na dworze królowej Bony wobec straconego Smoleńska w 1514 r. (tak brzmi pełna nazwa obrazu znanego jako *Stańczyk*), *Stefan Batory pod Pskowem*, *Wernyhora*, *Bohdan Chmielnicki z Tuhaj-Bejem pod Lwowem*, *Wjazd Chrobrego do Kijowa czy Śluby Jana Kazimierza we Lwowie w roku 1656*, obok urody dawnych epok pojawiają się ważne i brzemiennie w skutki przeszłe wydarzenia.

Uroda i historia Kresów były inspiracją dla innych wybitnych lub pomniejszych malarzy, jak Aleksander Gryglewski (np. *Wnętrze Sali Karmazynowej w zamku w Podhorcach*), Leon Wyczółkowski (np. *Gertruda Komorowska na saniach*), Wilhelm Leopolski (np. *Klucznik Gerwazy*), Michał Elwiro Andriolli (np. ilustracje do Mickiewiczowskiego *Konrada Walenroda*), Marcello Bacciarelli (np. *Traktat chocimski*), Piotr Michałowski (np. *Wjazd Bolesława Chrobrego do Kijowa*), Maksymilian Gierymski, Feliks Sypniewski, Leopold Loeffler, January Suchodolski, Józef Brandt, Józef Chelmoński (np. *Trójka*), Stanisław Witkiewicz, Zygmunt Vogel, Napoleon Orda (np. *Album widoków polskich – Krzemieniec*), Józef Jaroszyński, Wojciech Gerson czy Juliusz Kossak – *Mohort**.

Życie tytułowego Mohorta, postaci rzeczywistej – o którym wiemy, że zginął w 1792 r. w czasie bitwy na grobli pod Boruszkowcami – stanowiło natchnienie dla Wincentego Pola (1807–1872), który jako pierwszy wprowadził do obiegu termin *kresy*, tworząc także postać bohatera realizującego ideę niezłomnego trwania na zagrożonym posterunku, w dożgonnej wierności ideałom. Pol, wybitny poeta, geograf, uczestnik powstania listopadowego na Litwie i konspiracji popowstaniowej, użył terminu *kresy* i przypomniał realnego Mohorta w pisany w latach 1840–1852, a wydanym w Krakowie w 1854 r. poemacie – „rapsodzie rycerskim” pt. *Mohort*. Dzieło to wzbudziło ówczesnie wręcz entuzjazm. Autor otrzymał dziesiątki listów gratulacyjnych od różnych osób; pochwał nie szczędzili mu także wybitni pisarze, jak Zygmunt Krasiński, Aleksander Fredro, Seweryn Goszczyński, Kornel Ujejski, Władysław Syrokomla, Józef Ignacy Kraszewski, Felicjan Faleński. Utwór ten znalazł silny odzew u czytelników z całego kraju. Pełen najwyższego uznania dla au-

tora, dzieła i tytułowego bohatera Seweryn Goszczyński pisał w liście do Pola: „Takie poematy jak *Mohort* są modlitwą dusz polskich, ludzi działania; podają wzór działania i ton działania w człowieku. Takich dzieł nam potrzeba i potrzeba nam takich ludzi”. Goszczyński posunął się do porównania postaci Mohorta z Kościuszką, nawet zaś niechętni apologizacji szlacheckich ówczesni demokraci przyznawali, że w *Mohorcie* dał Pol prawdziwy „kodeks miłości ojczyzny”. J. Kolbuszewski pisał: „I choć już następne pokolenie badaczy literatury sceptyczniej spojrzało na ów poemat, przecież jednak nie stanęły ich sądy na przeszkodzie temu, by wielki Henryk Sienkiewicz mógł powiedzieć, iż postać Mohorta jest posągiem tego, co w tradycji było dobrym, a posągiem tak wspaniałym, że trudno oderwać od niego oczu”. Nie były to pochwały ani zdawkowe, ani przypadkowe, skoro między *Trylogią* Sienkiewicza, szczególnie zaś *Ogniem i mieczem*, a owym poematem Pola dostrzec można wyraźne powinowactwa. *Mohort* obok *Pieśni o ziemi naszej* stał się najpopularniejszym na długie lata utworem Pola. Nie ma najmniejszej przesady w twierdzeniu, że mniej więcej aż po rok 1922 oba te dzieła wywierały ogromny i bardzo szeroki wpływ na wyobrażenia o przestrzennym kształcie mającej się odrodzić Rzeczpospolitej. Jeśli w oczekiwaniach bardzo licznych grup od-



zyskać ona miała niepodległość w granicach sprzed 1772 r., to w niemałej mierze było to zasługą Pola. Oba te dzieła przerabiane były w szkołach Galicji, ich fragmentów uczono na pamięć.

Dzieła Pola zrobiły więc nie bez powodu w jego i późniejszej epoce zawrotną karierę. Kolejne edycje *Mohorta* ukazały się w Krakowie (1855), Wiedniu (1857), Petersburgu (1858; anonimowo), we Lwowie (1876; z ilustracjami Juliusza Kossaka) i ponownie we Lwowie (1883, 1898), w 1903 w Warszawie i Łodzi, w 1905 r. znowu w Warszawie, w 1907 r. w Brodach, w 1918 r. po raz kolejny w Warszawie, a ostatnie dwa w Krakowie (1922 i 1925). Po II wojnie światowej było tylko jedno wydanie *Mohorta* w 1963 r. Z kolei *Pieśń o ziemi naszej* miała w latach 1907–1922 11 wydań, co dowodzi, że oba utwory Pola miały wymiar ideologiczny, wspierający polski wysiłek odbudowy państwa, a po okrzepnięciu granic powoli poszły w zapomnienie. Gdy Piłsudski zrezygnował z odepchnięcia Rosji do granic z 1772 roku, to ta właśnie decyzja militarno-polityczna ostatecznie zdezaktualizowała *Mohorta* i *Pieśni o ziemi naszej*. Z dziejami rozumienia pojęcia „kresów” fakty te mają związek bardzo istotny. Dopełniającą się bowiem ideologiczna ekspresja obu poematów legła u podstaw formułowania się owego pojęcia jako substytutu nazwy geograficznej obszarów należących ongiś do państwa polskiego. I aura emocjonalna miała niezwykle wręcz wpływ na utrwalenie znaczeń i wartości przypisywanych pojęciu „kresów”. Związał w nim poeta liczne i ważne elementy tradycji rycersko-szlacheckiej, także narodowej.

Jak słusznie zauważa Kolbuszewski: „Inaczej mówiąc, za jego to sprawą dokonało się wyposażenie słowa kresy w te właściwości, które zapewniły mu żywotność i wielką siłę oddziaływania [...]”.

Pisane wielką literą Kresy stanowią jedyny w swoim rodzaju równoważnik nazwy geograficznej, zakresem swym obejmujący kilka regionów, kilka krain, kilka nawet obszarów etnicznych, uznany jednak za obszar polskiej swojskości. Rzecz by można, że Kresy są słowem nieledwie magicznym, budzącym wzruszenia, nostalgię, refleksje historiozoficzne, przemyślenia o osobliwościach dziejów naszego narodu i państwa,

Tadeusz Stec

Ze Szczepciem i Tońciem na wojennej „Lwowskiej Fali”

Do mniej znanych kart z dziejów naszych sił zbrojnych na Zachodzie w czasie II wojny światowej należą losy objazdowej Czołówki Teatralnej Wojska Polskiego „Lwowska Fala”. Był to zespół artystyczny, który dzieląc żołnierską dolę Polaków w Rumunii, Anglii, Francji, Włoszech, Holandii, Belgii i w Niemczech – rozjaśniał muzyką i piosenką wojenne dni naszym rodakom. Każdy żołnierz spod biało-czerwonego sztandaru czuł się pokrzepiony na duchu, gdy z estrady spływały słowa nawet tak prostej jak ta piosenki:

Choć na tułaczkę wygnał los nas wszystkich zły
Powrócą znowu szczęścia wolności dni
Ojczyzna zbierze rozproszone dzieci swe
I w zapomnienie pójdą zły tułaczki dni.

Członkami zespołu byli niezapomniani Tońcio i Szczepcio (Henryk Vogelfänger i Kazimierz Wajda), znani starszemu pokoleniu z przedwojennych programów rozrywkowych „Wesoła Lwowska Fala”.

Okazją do poznania ich przez młodszą generację był niedawno* pokazywany w telewizji przedwojenny film *Włóczęgi* z udziałem tychże właśnie ulubieńców publiczności, a także rozmowa Jerzego Janickiego z mieszkającym w Anglii Tońciem, czyli Henrykiem Vogelfängerem.

Nielatwo jednak po tylu latach znaleźć w kraju kogoś, od kogo można by usłyszeć relacje i wspomnienia z pierwszej ręki na temat Czołówki Teatralnej WP „Lwowska Fala”. Okazało się jednak, że nie trzeba było szukać daleko, bo osobą, która od początku do końca była członkiem tego zespołu jest mieszkaniec Krakowa, dziś 83-letni Stanisław Wasiuczyński**. Urodził się i wychował w samym centrum Lwowa i jest jednym z nielicznych już żyjących obrońców tego miasta w 1918 roku z grupy słynnych Orłąt Lwowskich. Do ósmego roku życia umiał

posługiwać się tylko gwarą lwowską. Jako absolwent Akademii Handlowej doszedł do posady dyrektora uzdrowiska w Niemirowie-Zdroju.

Studiując w akademii skończył szkołę dramatyczną i występował w teatrach amatorskich Lwowa, m.in. na scenie „Semafor”. Poznał wówczas twórcę „Wesołej Lwowskiej Fali” Wiktora Budzyńskiego, bo Tońka poznał jako chłopaka swojej kuzynki, a ze Szczepkiem zetknęli się jako weselni друзowie.

Tońcio wywodził się z lwowskiej, żydowskiej rodziny przesiąkniętej duchem patriotyzmu. O jej przywiązaniu do Polski świadczy najlepiej to, że ojciec Tońka, jako naczelnik Urzędu Skarbowego we Lwowie, gdy upadła Austria, przechował wszystkie pieniądze ze skarbca i oddał je rządowi niepodległej Polski.

– Wkrótce po wybuchu wojny – opowiada pan Wasiuczyński – w wojskowym mundurze wraz z grupą kolegów z Polskiego Radia ze Lwowa znalazłem się w rumuńskiej miejscowości Buzau w obozie dla internowanych. Już w połowie października 1939 roku Budzyński otrzymał propozycję zorganizowania czegoś w rodzaju dawnej „Wesołej Lwowskiej Fali” i przygotowania jakiegoś programu. Po naradzie z zespołem Tolo poszedł do kawiarni – najlepiej pisało mu się przy kawie – i wrócił z przepięknym poematem, który nazwał 25 słów. Muszę tu wyjaśnić, że władze rumuńskie dzięki staraniom YMCA zgodziły się, że każdy z nas za pośrednictwem Czerwonego Krzyża może przekazać do kraju wiadomość, nieprzekraczającą jednak 25 słów.

... Dano ci bracie blankiet biały

Linijek na nim tak mało,

Gdyś jednak dotknął ołówkiem, serce zadrżało...

... I napisałeś, „Jam zdrow”...

Już dwa! – a wolno dziś tylko dwadzieścia pięć słów

Adres – to cztery, o zdrowiu te dwa,

O matce...? nie starczy ci słów...

A o tęsknocie?

Każdy spektakl naszego teatru w czasie wszystkich późniejszych występów na frontowych drogach robił na widzach wielkie wrażenie, wstrząsał ludźmi, przełamywał w nich beznadzieję, szok i załamanie – wywołane klęską wrześniową, oddaleniem od domów. W czasie tych naszych wieczornic były chwile, kiedy zanikał podział na scenę



i widownię. Niezapomniane chwile przeżyliśmy w Targoviste, gdzie śpiewaliśmy wraz z ogromną widownią (półtora tysiąca chłopów) piosenkę *Wrócimy*.

Wrócimy tam, dokąd serce dziś tęskni i marzy
Wrócimy tam, wszyscy razem i młodzi i starzy,
Wrócimy tam, żeby zerwać Ojczyźnie kajdany,
Wrócimy tam, gdzie nasz dom, gdzie nasz kraj
kochany.

Podobnie było w innych obozach internowanych, w których występowała „Fala” – w Turnu-Severin, w Pitesti, w Caracal, Craiovej, w Bukareszcie, w Comisani-Vacaresti, Targu-Jiu. Poza artystycznym sukcesem zespołu w Rumunii było wywiezienie pod dekoracjami i rekwizytami co najmniej 150 Polaków, którzy pragnęli przedostać się na Zachód.

Później była Francja. Tam właśnie w miejscowości Coetquidan (nazywaliśmy ją *koczkodan*) staliśmy się teatrem żołnierskim i otrzymaliśmy nazwę „Polowa Czołwka Teatralna nr 1 Lwowska Fala”. Kierownikiem i duszą teatru był Wiktor Budzyński, tworzył on większość tekstów, które pisał z niewiarygodną łatwością. Szczepko i Tońko nie mieli we Francji takiego powodzenia w przedstawianiu skeczów w stylu lwowskim jak w Rumunii, bo oprócz lwowiaków w oddziałach polskich służyli także żołnierze z innych części kraju; dlatego największą furorę w zespole robił Józef Wieszczyk – wielki talent estradowy – nowosądeczanin,

także naszej kultury – słowem przypominającym dni chwały i potęgi, ale także klęsk i męczeństwa. Są bowiem owe Kresy tak samo najwyraźniejszą rzeczywistością polskich losów, jak zarazem mitem”.

Pod pojęciem „kresy” Pol – tworząc je za pomocą liczby mnogiej od wyrazu „kres” – rozumiał żyjące własnym rytmem odległe pogranicze, ale de facto u Pola „kresy” oznaczały w istocie linię wojskową pogranicza Kozaczyzny i Ordy Tatarskiej, siedzących podówczas jeszcze na ujściu Dniepru i na dolnym Dniestrze, gdyż pierwotne znaczenie słowa „kresy” w roli określenia przestrzennego dotyczyło – i tak jak u Pola – tylko linii stacjonowania chorągwi strzegących południowo-wschodniej granicy Rzeczypospolitej, między Dnieprem a Dniestrem, na ukraińskim obrzeżu państwa. Działo się tak zaś w czasie, gdy Korona, jako część Rzeczypospolitej Obojga Narodów, sięgała po Zaporozże, Sicz, Kudak, Połtawę, po Dzikie Pola, obejmując też Kijów i Czernihów. Poszczególne oddziały przebywały w stanicach bądź tzw. lukach i tylko na owych lukach wolno było przeprawiać się przez granicę. W ten sposób, wraz z twierdzami, łączyły się one w ciągłą linię, przebiegającą od Kudaku w dół, na południe i wzdłuż Dniestru od Kamieńca Podolskiego, dalej aż po Dniestr – nazywającą się kresami.

Istnieje też inna koncepcja genezy terminu „kresy”, choć w wielu momentach wydaje się on być dość zbliżony do terminu wprowadzonego przez Wincentego Pola. I tak, u Glogera znajdujemy definicję następującą: „Kresami zwano stanowiska wojskowe, czyli wojskowe stójki i poczty rozstawione na pobereżach Podola i Ukrainy, jako strażę graniczne od napadu Tatarów i Hajdamaków, a zarazem do przesyłania listów i znaków alarmu służące. Ponieważ służbę taką odbywano kolejno na zmianę, czyli jak komu wypadała kreska, kresa, więc i nazwa stąd poszła. Nie tylko na pobereżu, ale i w wielu stronach Korony, zamieszkałych przez lud polski, służbę kolejną na stójce u wójta zwano „kresową” i znad Wisły wzięto nazwę na Ruś. Ponieważ linia czatowni pogranicznych, ciągnąca się przez stepy od Dniepru do Dniestru, była łańcuchem takich stójek wojskowych, więc w mowie potocznej przypłatanu czasami do nazwy kresów znaczenie granicy Rzeczypospolitej od Zaporozża, Ta-

mistrz w „godkach” i „śpiwkach” w gwarze góralskiej. Słynął także z umiejętności znakomitego naśladowania głosu zwierząt, ptaków, a także ludzi.

W Port Le Verdon pod Bordeaux zespół „Lwowskiej Fali” przeżył gorycz klęski francuskiej w wojnie z Niemcami i niepokój oczekiwania przez kilka dni i nocy na przewóz do Anglii. Odpłynęli na starym frachtowcu „Clan Fergusson” w składzie I Dywizji Pancernej, by wylądować w Liverpoolu, gdzie witano ich z wielkimi honorami. – Proszę sobie wyobrazić – wspomina pan Wasiuczyński – że Brytyjczycy przedostawali się z Francji do Anglii często już bez broni, a niekiedy nawet w bieliźnie, my natomiast lądowaliśmy na angielskim brzegu z pełnym uzbrojeniem, co na witających nas władzach i ludności robiło wielkie wrażenie. Było to w lipcu 1940 roku.

Stanęli w obozie w Szkocji w hrabstwie Lanark. Już we wrześniu w jedynym kinie przyobozowego miasteczka wystawili rewię *Fish and Chips* (ryba z frytkami). Gdy w kilka dni potem występowali u Ułanów Jazłowieckich, ogłoszony został alarm, bo rozniosła się pogłoska, że w pobliżu wylądowali niemieccy spadochroniarze. Po półgodzinie alarm odwołano i w dużym namiocie, mimo wiatru i deszczu, odbyło się przedstawienie w niczym niezakłóconej wesołości.

Gdy język łamiesz dziś na „English speak”
Umiesz: „I love you”, znasz miłosny trick
Gdy „very nice girl” ciebie chce
Pamiętaj tylko o tym, że:…
Raz! Naprzód! Śmiało!
Gdy piosenka wesoło brzmi
Co nam zostało
W te szkockie deszczowe dni?

Przeglądam zachowane z tamtych czasów fragmenty kroniki teatru, napisanej przez członka zespołu Ludwika Bojczuka:

- 18 IV 1941 r. graliśmy dla lotników dwóch dywizjonów bombowych. Atmosfera u nich wspaniała. Po przedstawieniu zaproszono nas na start do lotu operacyjnego na Niemcy... Nie przynieśliśmy im pecha: wrócili wszyscy szczęśliwie po wykonaniu zadania.
- 24 IV 1941 r. Dzisiejsze przedstawienie poświęcone jest dywizjonowi myśliwskiemu 303. Zaczynaliśmy z treścią, ale sławni lotnicy byli bardzo szczerzy i serdeczni. Byliśmy i my bardzo szczęśliwi, że mogliśmy naszym

przybyciem urozmaicić kilka godzin ich niespokojnego żywota.

- 14 IX 1941 r. Dziś odwiedziliśmy pierwszy transport polskich ochotników z Ameryki Południowej. Niezapomniane było to przedstawienie i po nim długie rozmowy w świetlicy. 8 V 1942 r. Daliśmy występ dla załogi „Kujawiaka” przed wyruszeniem na morze. Spędziliśmy bardzo miło popołudnie na pokładzie, a nasz wieczorny występ zgromadził marynarzy także z innych okrętów polskich.
- 2 VI 1942 r. „Lwowska Fala” występuje przed żołnierzami, którzy wrócili z Rosji. Gramy w sali, gdzie chwilowo obozują i odpoczywają po długiej i ciężkiej udręce. Na sali śmiech miesza się ze łzami. I trudno samemu wytrzymać na estradzie, aby w sposób niezgodny z obyczajem teatralnym po prostu się nie rozbeczeć.

Nadeszła pora inwazji w Normandii. Teatr wraz z wojskami inwazyjnymi znalazł się we Francji, a potem trasa wiodła przez Belgię i Holandię, które wyzwolone zostały przez oddziały gen. Maczka.

Stąd wrócili ponownie do Anglii. „Fala” jako zespół istniała jeszcze do 1946 roku.

– Jak panu powiem – wyznaje p. Stanisław – że było tych przedstawień kilkaset: graliśmy na trawie, pod namiotami, w hangarach, na polu, gdzie się tylko dało, gdzie był tylko żołnierz, na naszych statkach, na „Sobieskim”, na „Batorym”, na „Gardlandzie” i na okrętach podwodnych, w bunkrach – to będzie jasne, że nazwa „Polowa Czołówka” nie była nam dana za darmo. Pamiętam przedstawienie w Bredzie pod ostrzałem bomb. Nie zapomnę nigdy wyprawy Józka Wieszcza, Szczepka i Tońka na samą linię frontu do bunkrów Pierwszej Polskiej Dywizji Pancерnej nad brzegiem rzeki Mozy, za którą tuż byli Niemcy.

Występowaliśmy z naszym repertuarem w języku angielskim dla zgrupowań żołnierzy brytyjskich i amerykańskich. Miał w takim programie swoją popisową rolę Tońcio w jednym ze skeczów, przyjmowanych przez Anglików i Amerykanów huraganowymi oklaskami. Graliśmy też dla nich *Wesele Wyspiańskiego*, choć z uwagi na nieprzetłumaczalność tego dramatu na angielski poszczególne sceny były objaśniane przez spikera.

Gdy wspominam o Tońciu – do repertuaru naszego teatru w przedstawieniach dla polskich żołnierzy włączana była bardzo często piosenka Tońka pt. *Serce dla Lwowa*:

A ja bym tak chciał posłać serce moje –
Daleko do Lwowa

Zapytać, czy Wysoki Zamek stoi.

Gdzie Niuśko się chowa?

Czy pod Ratuszem jeszcze siedzą lwy?

Czy w Stryjskim Parku wiosną pachną bzy?

Jak dawniej...

Czy w nocy grają lwowskie tam zegary

I gdzie batiary nasze są.

W teatrze obok wymienionych zespołów byli z nami jeszcze Mira Grelichowska, wielce utalentowana Włada Majewska, nazywana lwowską Ordonką, Halina Wiktoria Zakrzewska, Henryk Hausman, Wincenty Rapacki i Tadeusz Fabiański. Przez cały czas w zespole byli Szczepko i Tońko (oba sami pisali teksty monologów), choć z pewnymi przerwami, bo obaj niestety dość często chorowali. Tońko po wojnie pozostał w Anglii, podobnie jak Włada Majewska. Szczepko wrócił do kraju i przyjęty został, o dziwo, do Polskiego Radia w Warszawie, gdzie prowadził audycje „Przy sobocie po robocie”. Kupił samochód „dekawkę”, umarł nagle za kierownicą na wylew krwi do mózgu. Było to 8 maja 1955 r., miał 50 lat. Miesiąc wcześniej w Krakowie zmarła jego matka. Gdy Szczepko był na jej pogrzebie, wyraził życzenie, że też chce być pochowany w Krakowie. I tu jest jego grób. W Krakowie mieszka(ła) siostra Szczepka – pani Kondolewicz, która dożyła sędziwego wieku. Spośród członków zespołu nie żyją Wiktor Budzyński i Józek Wieszcze.

A powojenne losy Stanisława Wasiu-czyńskiego?

– Wróciłem do kraju w maju 1947 roku, choć gdybym został w Anglii, miałbym lepszy start od innych zdemobilizowanych żołnierzy, bo miałem zawód. Proponowali mi zresztą w Wielkiej Brytanii pracę w lecznictwie uzdrowiskowym. W kraju czekała jednak żona z córeczką i dwoma synami, która jako repatriantka osiadła we Wrocławiu. Kiedy więc znalazłem się w tym mieście, zabrałem się do uru-



Stanisław Wasieczny

tarów i Wołoszczyzny. Wszelkie urządzenia wojskowe na kresach ukraińskich cechowała wielka prostota. Dla regularnej zmiany straży potrzebny był zegar, ale zegara nie było, robiono tak zwane knotki, to jest sznurki i jednostajnej grubości, które były w tyle węzłów zawiązane, ile godzin noc miewała.

Ponieważ jeden knot mógł zgasnąć, więc dla niestracenia rachuby godzin zapalano trzy jednocześnie i po ilości węzłów wypalonych godziny liczono. Żołnierze kresowi odmawiali codziennie razem pacierze, po których wyliczano w modlitwie poległych i żyjących hetmanów koronnych i litewskich, wielkich i polnych”.

Rozbiory oznaczały koniec państwa pod nazwą Rzeczypospolitej. Dla określenia ziem do niej należących pojawia się odtąd słowo Polska, a sprawa Rzeczypospolitej staje się sprawą polską.

Pol pisał, że od Krakowa aż po Lwów rozciągała się „Rzeczpospolita królewska, a od Lwowa do Dniestru była już Rzeczpospolita hetmańska jako historyczna ziemia mogił i rycerzy, wiecznie nachodzona i wieczyście potrzebująca obrony [...] Przedmiotem największej chwały stawała się rycerska śmierć tam (na Kresach) poniesiona”. O poległych pisali najwięksi poeci. I owo też poczucie pełnej jedności wszystkich ziem, ongiś należących do Rzeczypospolitej, legło u podstaw porozbiorowych koncepcji niepodległościowych, i staropolskie przekonanie o jedności terytorialnej całej Rzeczypospolitej stało się jednym z najważniejszych składników późniejszych wyobrażeń o Kresach jako nierozzerwalnym elemencie państwowości polskiej. „Śmierć Mohorta jako ostatniego rycerza była epickim symbolem końca tamtego kresowo-rycerskiego świata, szerzej zaś końcem pewnej epoki w całym życiu polskim”.

Tymczasem w zawrotnej swej karierze słowo „kresy” bardzo rychło oderwało się od pierwotnie Im „przypisanego” terytorium, znaczeniem swoim obejmując coraz większe połacie ziem kiedyś do Polski należących i będących jej pogranicznymi już nie tylko na południowym wschodzie, ale przylegających najpierw do granic wschodnich dawnej Rzeczypospolitej, potem także północno-wschodnich, a w wieku XX nawet pograniczny południowych i zachodnich. Pojęcie „kresy” w znaczeniu pierwotnym utrzymało

chomienia miejskiego zakładu kąpielowego – jednego z największych wówczas w Europie. Otrzymałem od władz miasta angaż na stanowisko naczelnego dyrektora tego zakładu. Ale kiedy w 1950 r. zaczęto interesować się moim pobytem w Anglii, prze-czuwając na co się zanosí, sam poprosiłem o zwolnienie. I wówczas Edward Osóbka-Morawski – szef uzdrowisk w Polsce – zaproponował mi pracę w Krakowie, gdzie uruchomiłem uzdrowisko w Swoszowicach i Matecznym, lecz w roku 1955 zostałem zwolniony. Półtora roku chodziłem bez pracy, aż otrzymałem ją, dzięki panu Krejczemu, w Biurze Projektów Cementu i Wapnia jako kierownik działu obsługi technicznej. Przepracowałem tam 16 lat – do emerytury.

Jeżeli dożyliśmy z żoną do naszych lat, to chyba przede wszystkim dlatego, że dobrze układa się nam życie rodzinne. Z naszych trojga dzieci jeden syn jest aktorem w Radomiu, drugi syn samochodziarzem – specjalizuje się w naprawie „volkswagenów”, córka (najstarsza z całej trójki – jest na emeryturze) była nauczycielką w Ostrołęce. Mam dorosłych wykształconych wnuków.

Gdy zawiązywało się w Krakowie Towarzystwo Miłośników Lwowa, proponowano mi kandydowanie w wyborach do zarządu, ale odmówiłem. Są ode mnie młodszy, mogą jeszcze z siebie więcej dać.

Udało mi się odwiedzić po wojnie Lwów, gdzie zajrzałem także do zarządzanej przeze mnie łaźni miejskiej. Zastałem jeszcze z tamtych czasów pracownika – Iwana. Witając się ze mną, chciał mnie pocałować w rękę. I wtedy pomyślałem, że jeżeli moja żona nie została deportowana ze Lwowa do ZSRR – klasyfikowała się przecież według ówczesnych kryteriów do „pomieszczyków” – to głównie dlatego, że cały personel łaźni, której byłem dyrektorem, prawdopodobnie nie powiedział na mnie jednego złego słowa...

Doszło oczywiście do spotkania z Tońkiem, którego odwiedziłem w Londynie w 1978 r. Cóż to było za spotkanie...

* Tekst pochodzi z roku 1989.

** Ur. 1906, zm. 1995 w Krakowie.

Tekst pochodzi z „Gazety Krakowskiej” 72/89 z 25.03.1989



"Tonko"

Kierownik literacki "Wesołej Fali"
Mr. Wiktor Budziński (Juliusz Tuła)

"Szczepko"



Kazimierz Walda
(Szczepko)



Mr. Henryk
Vogelänger
(Tonko)

Hallo!! Polskie Radio Lwów!

W styczniu 1930 r., 2-kilowatowa stacja nadawcza pod dyktando inż. Wit. Szczygłowski została uruchomiona, stawiając odrazu na wysokim poziomie stronę techniczną, audycji.

W kwietniu 1930 r., rozpoczęło budowę 16-kilowatowej stacji i we wrześniu, na placu Targów Wschodnich budynki były pod dachem a w grudniu przystąpiono do próbnych audycji. Dobry odbiór Lwowa, stwierdzony listami z kraju i zagranicą sprawił, że pod kierownictwem dyr. J. Petrygo zaczęło nadawać programy własne, lwowskie, zjednoczone w przeciągu roku we Lwowie 14.750, a na prowincji 24.512 radioabonentów. Technicznie prowadzi stację kier. W. Korecki.

W programach prym wiedeńskie muzyki. *Poważna* pod kier. Dr. A. Soltysa, t. j., kwartet Pol. Tow. Muzycznego, oraz trio fortepianowe. Muzyka *lekka* o walorach artystycznych pod kierownictwem T. Seredyńskiego. Wybitne miejsce w progra-

S O L A



Mr. Mieczysław
Mundorfer
(Aprikozenkranc)



Adolf Flackher
(Untenbaum)



Janek Winiarski
(Balach)



Kazimierz Nabilien



St. Ester



Mr. Czesław Habski



Mr. Władysław Majewski



Ewa Strójewska



Teresa Lisiewicz



Love Short



Stefania Zielińska



Alfred Kowalski



Dr. Teodor Akryński



Imre Dab



Wilhelm Korshowski

F A

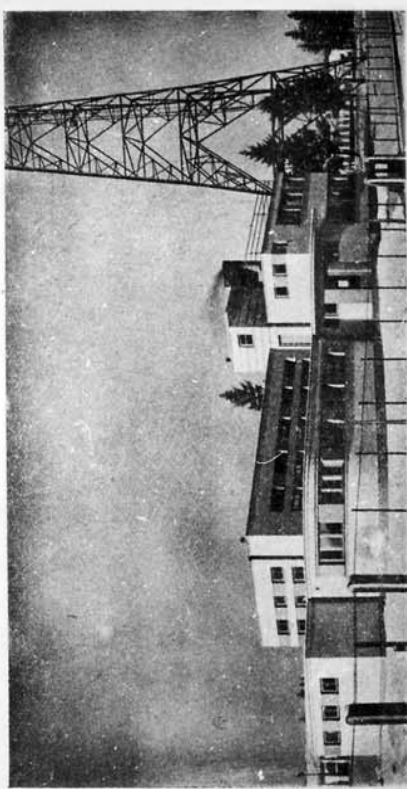
mach, znalazły występy chórów Eryano i Esbena; doskonałym jest zespół rewerberów Z. Lipczyńskiego. Specjalnym powodem cieszności są *reportaże muzyczne* z płyt art. opery p. Celiny Nahlík. *Działem sportowym* opiekuje się prof. R. Wacek. *Referat prasowy* stacji, prowadzi red. T. Fabiański.

Teatr Wyobraźni dał Polsce szereg słuchowisk p. A. Bronczyka, J. Tepy, J. Zyndrama i inn. Audycje dla dzieci prowadzi p. A. Artzt. Stworzony przez ks. kan. M. Rękasa dział *"Radio dla chorych"*, przybrał rozmiary wielkiej akcji pomocy doraźnej dla chorych oraz radiofonizację szpitali.

"Wieczory lwowskie" audycje słuchowiskowe, oraz *"Prelekcje"* wybitnych uczonych, literatów, artystów, dziennikarzy, i t. p., znajdują uznanie w całej Polsce.

A teraz słowo o *"Wesołej Lwowskiej Fali"*. Jak Polska długa i szeroka, tak echa lwowskiej *"Wesołej Fali"*, nadawanej r o z g ł o ś n i e przez rozgłosnię lwowską, zdobyły sukcesy niebywałe lecz zasłużone. Tak popularni Szczepko i Tonko, swoim sui generis pomyśleniem dialogami, zdobyli rekord, championat, mistrzostwo propagandy Lwowa; Aprikozenkranc i Untenbaum swymi szczerymi rozmówkami, rozśmieszają do łez słuchaczy. Wymienieni wraz z resztą artystycznego zespołu pod kierownictwem literackim Mr. W. Budzińskiego, tworzą całokształt bezkonkurencyjnego w polskiej radiofonii, słuchowiska rewolucyjnego.

Lwów, Radiostacja Polskiego Radia



się zaledwie kilka lat, około roku 1860 zaczęto je kojarzyć z innymi, większymi i dalej nawet położonymi od ścisłego pogranicza obszarami. W XIX wieku za sprawą Józefa Bohdana Zaleskiego i Jana Zachariasiewicza (powieść *Na kresach*) stały się owe „kresy” pojęciem wartościującym – kategorią aksjologiczną, wyposażoną w idealizowane znaczenia kulturowe i etyczne, inspirującą do różnorodnych poczynąń interpretowanych jako misja narodowa; ok. 1860 roku pod pojęciem „kresów” rozumiano Ukrainę w takim wymiarze, w jakim kiedyś należała do Polski, w jakim była obszarem walk rycerstwa polskiego z Tatarami, Turkami i Kozakami, w jakim wreszcie była przez Polaków ciągle jeszcze zamieszkiwana. „Kresy w ich rozumieniu historycznym stały się obszarem mitycznym, o którym warto i trzeba pamiętać, ale do którego powrotu już nie ma” – pisze Kolbuszowski już o ich pojmowaniu w epoce II RP.

Lecz strata dużej części dawnej Rzeczypospolitej na rzecz Rosji bolszewickiej wzbudzała wówczas ogromne emocje. Maria Czapska traktat ryski i oddanie połowy Białorusi z setkami tysięcy ludności polsko-białoruskiej nazywała „grzechem kainowym”. Podobnie myślała Zofia Kossak-Szczucka:

„A więc wszystko było niepotrzebne. Nasza wytrwałość, wysiłki, tyle nadziei, wiary, tyle miłości, niepotrzebne nikomu i niepożądane”.

Zatem dla pokolenia międzywojennego „kresami” (raczej pisanymi dużą literą) były ziemie, które odpadły od Rzeczypospolitej po rozbiorach i których nie udało się odzyskać – mimo trwania na placówce – w wyniku wojny z bolszewikami.

Jednak rzeczywistość polityczna różnych epok w Kresach widziała nie tylko konkretny obszar na południowo-wschodnich krańcach przedrozbiorowego państwa polskiego. Istniała bowiem dość istotna różnica między „kresami” a „zwykłym” pograniczem między państwowym. Zwykle pogranicze to na ogół strefa kontaktowa, ekumen dwóch narodów politycznych, tj. tworzących własne państwa narodowe. Dominuje tu dwukulturowość, choć obie społeczności narodowe mogą się przenikać, powszechny bywa bilingwizm, a nawet dochodzi do konwergencji kulturowej. „Kresy” to natomiast coś więcej, to w zasadzie tereny leżące poza „obszarem

dr Jan Krzysztof Petry

Wspomnienie o Juliuszu Petrym

**znakomitej postaci Polskiego Radia
we Lwowie, Wilnie i Wrocławiu**

Urodził się 13 grudnia 1890 roku na Ziemiach Wschodnich: w Łopiance, miejscowości w powiecie Dolina niedaleko Bolechowa, w rodzinie o wielkich tradycjach patriotycznych. Wzrastał w atmosferze szacunku dla ludzi i przyrody a nade wszystko w umiłowaniu polskości.

Wspomnę, że ojciec jego, nadleśniczy (kk. Forsmeister), absolwent wiedeńskiej szkoły leśnej, łączył z pracą biurową dydaktykę, szkoląc młodzież leśną. Matka, Felicja Szyszkowska herbu Ostoja, pianistka, z domu o tradycjach kresowych, wszechstronnie utalentowana, skupiała i szkoliła miejscową polską i ruską młodzież. Grała na fisharmonii podczas niedzielnych nabożeństw. W domu urządzała koncerty i spotkania teatralno-wokalne o charakterze patriotycznym.

Juliusz akompaniował matce na skrzypcach, uczestnicząc w urządzanych spotkaniach. Od wczesnego dzieciństwa ujawniało się jego umiłowanie folkloru, czemu dawał wyraz w późniejszej swojej twórczości literackiej oraz pracy zawodowej. Z wielkim upodobaniem nucił dumki i pieśni zarówno polskie, jak i ruskie i propagował je po latach w audycjach radiowych oraz spotkaniach towarzyskich.

Odgłosy przyrody i leśnego otoczenia dawały mu asumpt do składania kolejnych w życiu strof i wierszy.

W nadleśnictwie żył przyjaźnie ze sforą trzynastu psów oraz oswojonym jeleniem przychodzącym do okien kuchennych po dzienny przydział cukru i chleba. Po ostępach leśnych wędrował kilometrami pieszo. Często też towarzyszył swojemu ojcu w objazdach rewirów leśnych czterokołową tzw. linijką, zaprzęzoną w silnego i upartego konika huculskiego, niebojącego się brodu ani strumieni, nagminnie omijającego napotykanego po drodze mosty. Nagle cwały przez

rwące potoki kończyły się z reguły kąpielą podróżujących.

Zimowe wieczory spędzał przy lampie naftowej z dostępną lekturą. Zafascynowany był antykiem. Rozmiałowany w mitologii greckiej, jej mitami i legendami, do których chętnie i często wracał. Szkołę powszechną ukończył w pobliskim Bolechowie, mieszkając tam na tzw. „stancji”. Lubiany przez rówieśników za koleżeństwo i uczestnictwo w zespołowych grach i zabawach. Po śmierci dwóch swoich starszych braci Piotra i Pawła, zmarłych w dzieciństwie na dyfteryt, został jedynym synem, mającym w kolejności starszeństwa trzy siostry.

Marię primo voto Stankiewicz, secundo Sahanek, pianistkę, wywiezioną w 1941 roku ze Lwowa z rodziną do Kazachstanu (Okręg Jozskar Oła). Tam zmarli z biedy, głodu i niedostatku jej mąż Witold oraz dwóch utalentowanych synów, 20-letni Jerzy Stankiewicz i Wojtuś Sahanek, dziesięcioletni, nieprzeciętnie utalentowany rysownik i portrecista.

Notabene jej mąż Witold, znany w okresie międzywojennym prawnik (prezes prokuratury generalnej), jako młody asesor zatrudniony w Nowym Targu przyczynił się do wypuszczenia Lenina z aresztu (!). Zostało to udokumentowane i opisane przez wdowę w prasie polskiej po ewakuacji wojska polskiego wraz z ludnością cywilną z Rosji, dzięki polityce generała Andersa do Iranu, w którym odnalazła się z córką Hanką. Zmarła na emigracji, osierocając córkę i wnuki. Pochowana w Londynie.

Druga siostra, Kazimiera, była wieloletnią, rzecz można dożywością pierwszą skrzypaczką filharmonii i opery warszawskiej. Zasługuje na specjalne wspomnienie między innymi dzięki swojej odwadze i poświęceniu.

Podczas okrutnej okupacji i krwawej polityki dyskryminacyjnej Polaków przez Niemców w jej warszawskim specjalnie przystosowanym i zabezpieczonym mieszkaniu, które dzieliła ze swoją przyjaciółką panią Ireną Brzostowską przy ulicy Mariańskiej 10 na IV piętrze, mieszkał, rezydował i konferował

Jan Stanisław Jankowski o pseudonimach „Soból”, „Inżynier”, trzeci i ostatni Delegat Rządu RP na Kraj w randze premiera (prezydenta), po zmarłym w 1942 r. Cyrylu Ratajskim, byłym prezydencie Poznania, i Janie Piekarkiewiczzu zamordowanym przez Niemców w 1943 roku. W jego pokoju nad łóżkiem wisiał drewniany dość okazałych rozmiarów krzyż-skrytka z tajnymi dokumentami, dotyczącymi najważniejszych spraw państwowo-wojskowych w okupowanej Polsce. Krzyż otwierał się po nakłuciu ukrytego punktu cienką igłą. Ponadto na 4. piętrze łazienka z oknem z widokiem na tyły budynku zaopatrzona była w drabinę sznurową, umożliwiającą w nagłej potrzebie ewakuację zagrożonego na sąsiadujące podwórko ze składem węgla. Jak powszechnie wiadomo,

Pan Premier po Powstaniu Warszawskim z Grupą Szesnastu wywieziony, więziony i sądzony w Moskwie, został skazany na 8 lat więzienia. Zmarł w więzieniu moskiewskim w 1953 roku. Kazimiera zmarła w Warszawie i pochowana została na Powązkach.

Najmłodsza siostra Janina, primo voto Przybylska, secundo Żygulska, absolwentka Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Była znaną artystką we Lwowie, po wojnie w Krakowie i Warszawie, ceniona i niezwykle uta-

lentowana plastyczka, malarka, rzeźbiarka, lalkarka i scenografka. W okresie międzywojennym osobiście wykonała szachy na zamówienie rządu polskiego w darze cesarzowi japońskiemu Hirohito. Ilustrowała książki dla dzieci, tworzyła scenografie teatralne. Między innymi zaprojektowała w Brzuchowicach koło Lwowa wnętrze pałacu-willi dla Stanisława Maykowskiego, autora podręcznika do nauki języka polskiego pt. *Mówią wieki*, krytyka teatralnego, powszechnie znanej osobistości bohemy lwowskiej, literata, nauczyciela, teatrologa. W obiekcie tym ozdobiła pokoje rzeźbami i płaskorzeźbami, zaprojektowała ozdobne podłogi, krzesła, fotele, stoły, klamki w oknach i drzwiach, a nawet tron profesora stojący w szklanym wykuszu na specjalnym podeście-katedrze z widokiem na rozległy przydomowy ogrodo-



Juliusz Petry

gniazdowym” narodu i poza pierwotnym, etnicznym terytorium państwa, na ogół później do niego przyłączone, różną drogą – podboju, sukcesji dynastycznej, unii personalnej itp. To w konsekwencji obszar wielokulturowy, o bardziej złożonych stosunkach etnicznych, politycznych i społecznych. Koncepcja „rdzeń i peryferie” w geografii politycznej, czyli idea rozrostu terytorialnego, poczynając od małego obszaru rdzeniowego, ma tu zastosowanie jako model. Z tych obszarów ekspansja polityczna, ekonomiczna i kulturalna państwa rozszerza się – niczym kręgi na wodzie – najpierw na obszary sąsiednie, a następnie także na bardziej peryferyjne tereny, niekiedy już o obcych cechach narodowych – tak rozwijają się choćby Francja, Polska i Rosja. W związku z nieustannym zagrożeniem ludność pogranicza musiała być w ciągłym pogotowiu do obrony i wyrobić w sobie umiejętności wojenne. Prowadziło to do skrajnej militarystyki życia, szczególnie na południowych krańcach „kresów”, gdzie wszystko musiało być podporządkowane potrzebom wojennym (tu mowa nie tylko o zagrożeniu, np. ze strony Moskwy, ale także ze strony zbójnictwa).

Osadnictwo na Kresach miało od zawsze charakter rolniczo-wojenny. Tak nawet było jeszcze w okresie międzywojennym. Tych analogii jest więcej, bo czymże był Korpus Ochrony Pogranicza, jeśli nie bardziej nowoczesną i lepiej wyposażoną formacją strzegącą granicy wschodniej biegnącej po ziemiach Kresów.

Życie na kresowych pustkowiach było nie tylko niebezpieczne, ale także trudne i surowe, brakowało bowiem wielu nawet najprostszych urządzeń cywilizacyjnych. Szli więc na Ukrainę ludzie twardzi, wnosząc w odległą przestrzeń mowę i kulturę polską, wraz ze świadomością pełnej jedności tych obszarów z całością Rzeczypospolitej. Rodzimą ludność Kresów stanowili Rusini, zruszczeni Kozacy, Wołosi i Tatarzy. W miastach kresowych osiedlali się kupcy ormiańscy, greccy, w wojskach służyli Czeremiśi, żołnierze z krajów niemieckich, Szkoci, staroobrzędowcy – jako rosyjski element. Społeczeństwo było też wielowyznaniowe, obok katolików (rzymskich) byli prawosławni, grekokatolicy i staroobrzędowcy (raskolnicy), Kościół ormiański oraz Tatarzy – muzułmanie.

-park. Nie pominęła psiej budy, projektując ją w stylu zakopiańskim, oraz ozdobnego ogrodzenia całej posiadłości. Była twórczynią wielu sztandarów zamawianych przez jednostki wojskowe i paramilitarne.

Projektowała i tworzyła wspaniałe obwoluty dla wyrobów cukierniczych i wystawy bożonarodzeniowe oraz wielkanocne – sławnej z wyrobów cukierniczych firmie Zalewskiego. Była twórczynią barwnej i bogatej scenografii do sztuki teatralnej Juliusza Lwie serca (Warwas), widowiska osnutego na tle historii Lwowa i wystawionej 2 maja 1930 r. na scenie Teatru Wielkiego.

Śmierć ojca Juliusza, Józefa Petrego, w 1907 r. zapoczątkowała okres wielkich niedostatków.

Cała rodzina bezpowrotnie opuściła Łomiankę, żegnając nadleśnictwo i jego otoczenie. Opuściła z żalem zadbane gospodarstwo z całym inwentarzem, oswojonym jeleńcem, upartym konikiem huculskim i psiarnią. Z niewielkim dobytkiem wyemigrowali do Lwowa, lokując się w małym domku przy ulicy 11 Listopada. Juliusz został uczniem tzw. Pobernardyńskiego Gimnazjum, późniejszego IV Gimnazjum im. Jana Długosza, w którym naukę pobierali m.in. Kornel Makuszyński i Jan Parandowski.

Od 1902 roku zarabiał, udzielając korepetycji. Jako młody pracownik biblioteczny pracował w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich we Lwowie. Dla zarobku pracował również fizycznie, np. przy rąbaniu sąsiadom drzewa na opał. W 1908 r. w 18. roku życia zdał maturę z odznaczeniem, pisząc wierszem wypracowanie z języka polskiego na temat *Baba z wozu, koniom lżej*. W latach 1908–1912 studiował na Wydziale Filozoficznym i Filologicznym Uniwersytetu Lwowskiego filozofię oraz historię, polonistykę, romanistykę i germanistykę. Na tej uczelni udzielał się społecznie, będąc czynnym członkiem Stowarzyszenia Młodzieży Postępowo-Niepodległościowej „Życie”. W roku 1911 ogłosił w krakowskiej „Krytyce” poemat *Epilog*. W 1915 r., zmobilizowany do armii austriackiej, skierowany został do kompanii wartowniczych na Morawach, gdzie skończył szkołę oficerską.

Od 1915 do 1917 był stypendystą Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie. Tam też odnalazł się w atmosferze dosto-

jeństwa nauki. Poznał szereg ciekawych osób i nabył umiejętność bardzo szybkiego czytania oraz zapamiętywania najdrobniejszych nawet szczegółów. W 1918 r. brał udział w walkach o Polski Lwów w rejonie cytadeli oraz Poczty Głównej, następnie do 1920 r. służył jako porucznik w 15 Lwowskiej Dywizji Wojska Polskiego. W uznaniu dzielności został wówczas odznaczony Krzyżem Walecznych.

Trudne warunki materialne, graniczące z ubóstwem, zmusiły go w 1920 r. do podjęcia pracy zarobkowej.

W 1921 roku ukończył studia na Uniwersytecie Lwowskim i po złożeniu egzaminu filozoficzno-pedagogicznego rozpoczął nauczanie w Państwowej Średniej Szkole Technicznej we Lwowie.

Również w tym roku, 6 stycznia, ożenił się z Zofią Seidlerówną, córką sędziego Sądu Powiatowego w Czarnym Dunajcu, pracownicą sekretariatu Książnicy Atlas we Lwowie.

W tym czasie rozpoczyna się bardzo ciekawy i bogaty okres jego twórczego życia. Rozwinął działalność literacką i dziennikarską na łamach „Kuriera Lwowskiego”. Drukował również liczne wiersze, rozprawy i recenzje w innych pismach lwowskich. Współpracował z Agencją Wschodnią do 1929 roku.

Został członkiem Syndykatu Dziennikarzy oraz Związku Literatów Polskich, legitymując się opracowanymi w 1913 r. szkicami do sztuk teatralnych, które zostały napisane w formie ostatecznej w 1926 roku, a wydane drukiem w 1936 r. nakładem wydawnictwa „Reduta – Tydzień Polski” we Lwowie: *Lwie serca* i drugi utwór pt. *Mocarze ducha*, poświęcony postaci Maurycego Mochnackiego, członka sprzysiężenia Piotra Wysockiego, jednego z organizatorów i przywódców Towarzystwa Patriotycznego w powstaniu listopadowym (1830–1831).

Widowisko heroikomedio- we z dziejów Lwowa w XVII w. *Lwie serca* (Warwas) zostało wyróżnione w 1928 r. na

konkursie dramatycznym rozpisany przez Gminę Miasta Lwowa z okazji 25-lecia Teatru Wielkiego. Wystawione zostało po raz pierwszy 2 maja 1930 r. na scenie tegoż teatru w oprawie scenicznej oraz strojach zaprojektowanych i własnoręcznie wykonanych przez siostrę Juliusza, Janinę Petry-Przybylską. Należy podkreślić, że sztuka ta zyskała uznanie nie tylko w prasie polskiej, ale także ukraińskiej i żydowskiej.

W sierpniu 1930 roku został powołany na stanowisko kierownika programowego świeżo utworzonej Rozgłośni Lwowskiej Polskiego Radia, gdzie szybko dał się poznać jako uzdolniony organizator. W wyniku uznania wysokiego poziomu programów tej rozgłośni oraz ich ogólnopolskiej popularności w 1935 roku otrzymał nominację na stanowisko naczelnego dyrektora tejże Rozgłośni.

We wrześniu 1936 r. reakcją centrali na audycję satyryczną „Wesołej Lwowskiej Fali” autorstwa Wiktora Budzyńskiego pt. *Wywiad z krową holenderską*, mogącą urazić członków holenderskiej rodziny królewskiej, będącej w podróży poślubnej w Krynicy, dyrektor Juliusz Petry, jako z urzędu odpowiedzialny za jej treść, został w trybie natychmiastowym zdymisjonowany.

Na bezrobociu pozostawał do 1 stycznia 1937 r., albowiem w proteście na decyzję władz odbył się solidarnościowy strajk lwowskich radiowców. Determinacja wszystkich



Zespół Wesołej Lwowskiej Fali. Po lewej stronie osoby w białej bluzce siedzi Juliusz Petry, za nim Wiktor Budzyński. Na podłodze siedzą Tońko i Szczepko.

Kolejną cechą Kresów był niski stopień urbanizacji. U schyłku XVI w. na Ukrainie było 321 miast, z tego 250 stanowiły miasta najmniejsze, liczące poniżej 600 mieszkańców. Dla porównania w wielokrotnie mniejszej Wielkopolsce z Kujawami było w tym czasie 255 miast, w tym tylko 27 najmniejszych. Po klęskach wojennych XVII i XVIII w. na Ukrainie pozostało zaledwie 145 miast, podczas gdy w Wielkopolsce przetrwało ich 208.

Konsekwencją było ogromne zapóźnienie cywilizacyjne Kresów; jeszcze w II RP województwa południowo-wschodnie stanowiły synonim Polski C. Jeśli w 1931 roku średnie zatrudnienie w rolnictwie i leśnictwie w Polsce wynosiło 60,6%, to w województwach stanisławowskim, tarnopolskim i wołyńskim odpowiednio wahało się między 74,7% a 79,6%. Od XIX wieku pojęcie Kresy i Ukraina były synonimami. Podobny charakter miały Inflanty.

Wyróżnikami Kresów były odmienność geograficzna, peryferyjność, słaba dostępność (chodzi o transport), izolacja, słabe zaludnienie, rzadka sieć miast, niedorozwój i upośledzenie, zależność i podporządkowanie, wielokulturowość, zapóźnienie cywilizacyjne, odmienność zachowań, niestabilność polityczna i społeczna, odmienność prawa i etos kresowy. Była to jednak kraina, w której obowiązywało niejako motto: „gente Rutheus (Lithuanus), natione Polonus” I choć z czasem Kresy oderwały się w pewien sposób od terytoriów, żyjąc i rozwijając się tylko w umysłach wielu ludzi i tworząc przestrzeń tożsamościową dla kultury polskiej mniej więcej od XIX w., to pozostały de facto „polską Atlantyda”.

I mimo że w czasach PRL Kresy Wschodnie uległy anihilacji i przekształciły się w realną Litwę, zachodnią Białoruś i zachodnią Ukrainę, to w polskich duszach – jak się wydaje – nadal pozostały jako owa Atlantyda.

Po II wojnie światowej pod pojęciem Kresów rozumiano ziemię utracone na rzecz ZSRR, czyli dawne województwa wschodnie II RP ograniczone na zachodzie rzeką Bug. To pojęcie jednak dalej ewoluowało i w początkach lat 90, kiedy można był legalnie prowadzić badania „wschodnie”, my, historycy nimi się zajmujący, zaczęliśmy pod tym pojęciem rozumieć całą strefę okupacji sowieckiej z lat 1939–1941, któ-

pracowników rozgłośni oraz żywa reakcja radiosłuchaczy była tak autentyczna i wymowna, że 1 stycznia 1937 r. cofnięto dymisję i przeniesiono go do Wilna na równorzędne stanowisko, gdzie zyskał sobie również uznanie radiowców i radiosłuchaczy i został powitany i przyjęty ciepło i serdecznie. Od zespołu radiowców wileńskich otrzymał album z ich podobiznami z miłą i wymowną dedykacją: *Nie potrzeba zbędnych słów, miasto Wilno z miastem Lwów*.

W tym pięknym mieście poznaliśmy wspaniałych ludzi. Zwiedzaliśmy urocze okolice, zakątki i gospodarstwa szlachty zagrodowej, w większości dumnej ze swoich tradycji i pochodzenia polskiego.

Zachwycała bujna przyroda, rzeka Wilejka i podróże statkiem po Wilii. Wspominał rejs z licznie przybyłymi w odwiedziny lwowskimi radiowcami na czele z „Wesołą Lwowską Falą”. W lecie wędrowaliśmy po Pojezierzu Wileńskim, podziwiając jeziora z pięknym jeziorem Trockim i zamkiem Gedymina. Po półrocznej – nazwijmy to – delegacji pożegnaliśmy urocze Wilno z jego mieszkańcami, wracając do Lwowa, gdzie oczekiwał na Ojca opuszczony przed laty gabinet z fotelem i biurkiem.

We wrześniu 1939 r. po wybuchu wojny Ojciec nie opuścił rozgłośni, trwając w niej do 17 września przy czynnym radiodiodbiorniku i mikrofonie, z jedynymi źródłami wiadomości dla udręczonego Miasta i społeczeństwa. Pracował bez wytchnienia i przerwy z wielką determinacją oraz oddaniem, mimo bombardowań mających na celu unieruchomienie radiostacji. Po wzruszającym pożegnaniu z personelem i radiosłuchaczami, na polecenie polskich władz wojskowych, przekazał radiostację radzieckiemu pułkownikowi Murawiewowi, który zachłyśnięty swoim awansem zapragnął kupić od Petrego smoking(!).

Rozgłosnia Polskiego Radia we Lwowie 18 września 1939 roku zamilkła. Część pracowników, w tym cały zespół „Wesołej Lwowskiej Fali”, zgodnie z nakazami polskich władz wojskowych, opuściła Lwów, kierując się na południe do granicy rumuńskiej, a następnie na zachód. Utworzyli potem w ramach powstającego na obczyźnie Wojska Polskiego – Czołówkę Teatralną, która na wielu frontach wojennych i po jej

zakończeniu na emigracji pozostawała zawsze wierna Polsce, swojemu miastu i lwowskiej Rozgłośni.

Juliusz Petry wyjechał z miasta wraz z pracownikami rozgłośni. Będąc w Stanisławowie, powziął decyzję samotnego powrotu do Lwowa do swojej placówki jako jej „zawsze wierny”.

Rozpoczął się kolejny, niezmiernie trudny i niebezpieczny okres w jego życiu. Dzięki opinii, jaką wystawili dyrektorowi pracownicy fizyczni rozgłośni wobec władz radzieckich, do lutego 1940 r. pełnił funkcję kwestora, czyli kierownika działu abonentów radia we Lwowie.

Ostatecznie jako osoba niepożądana w 1940 r. na zawsze opuścił swoją lwowską rozgłośnię przy ulicy Batorego 6. Wspominać to będzie do końca życia zawsze z wielkim bólem i wzruszeniem.

W tym też roku zmarła mu żona Zofia chorująca na serce. Aby przeżyć, wyprzedał meble, ubrania, maszynę do pisania, pianino. W okolicznych wioskach kupował i przynosił w teczce żywność. Za symboliczną płacę był zatrudniony w Muzeum Przemysłu Artystycznego przy konserwacji porcelany, szkła i mebli z licznych obrabowanych dworzków szlacheckich i posesji polskich rozsianych na okupowanych kresach. W miarę bardzo skromnych środków organizował realną pomoc dla pozostałej we Lwowie i zubożonej napływowej ludności polskiej. Nie zapominał i pomagał członkom Rodziny Radiowej.

Podczas wywózki na wschód w 1940 i 1941 roku czuwalimy nocami, siedząc na przygotowanych tłumokach, nasłuchując warkotu ciężarówek i walenia w drzwi. Unikaliśmy losu całej naszej rodziny, która rozproszona wyginęła w kazamatach i łagrach sowieckich jak setki tysięcy Polaków. Przed wywózką ocalili nas zapewne interwencje anonimowych i bliżej nieznanych nam życzliwych ludzi, ceniących sobie postawę Petrego w okresie międzywojennym, a przede wszystkim jego rozumne i bezkonfliktowe usposobienie.

Od 1942 roku po zajęciu Lwowa przez wojska niemieckie, jako intelektualista figurujący na liście przewidzianych do likwidacji, ukrywał się i konspirował z odwagą i całym poświęceniem pod pseudonimami Ariel, Kamil, Cyprian. Został zaprzysiężony w Związ-

ku Walki Zbrojnej, następnie Armii Krajowej. Po pewnym czasie podjął pracę w Radzie Głównej Opiekuńczej (RGO) wspólnie z ks. Michałem Rękasem, niosąc pomoc materialną i moralną Polakom uchodzącym do Lwowa z rubieży wschodnich przed pogromami i mordami organizowanymi przez ukraińskie oddziały UPA.

Z tajnych dyrektyw otrzymywanych z Londynu wynikało, że po wojnie pozostaniemy w granicach z 1939 roku z województwem opolskim, całymi Prusami Wschodnimi, oczywiście z Królewcem.

Pamiętam z przeprowadzanych rozmów, że w planach emigracyjnych władz Juliusz Petry miał objąć stanowisko naczelnego dyrektora rozgłośni w Królewcu. Przygotowywał się do tego, gromadząc potrzebne materiały propagandowe, literackie oraz płyty z muzyką polską.

Głęboko zaangażowany był w prace konspiracyjne Armii Krajowej, współpracując m.in. z obecną we Lwowie grupą pomorską, pionierów budowy radiostacji w Bydgoszczy. Ukrywali się oni i konspirowali w walce z NKWD i SS, na czele z Bernardem Nużkowskim, oficerem rannym w prawą dłoń pod Hołoskiem – w bitwie na bagnety z Niemcami. Był on bohaterem konspiracyjnym w okresie okupacji rosyjskiej i niemieckiej. Aresztowany przez Niemców i skazany na śmierć, został rozstrzelany w jednej z masowych egzekucji – mimo interwencji dowództwa Armii Krajowej.

Z żoną Celiną Nahlik-Petry, była spikerką Radia Lwowskiego, w ich wspólnym mieszkaniu przy ulicy Zyblikiewicza 18, mimo zakazu grożącego śmiercią, zorganizowali ponad sto wieczorków literacko-muzycznych z udziałem ocalałej inteligencji twórczej – uczonymi, artystami i muzykami. Odtwórcą zakazanych przez okupanta utworów Chopina, Moniuszki i innych kompozytorów był młody wówczas p. Frączkiewicz, znany po wojnie w Krakowie pianista i pedagog, akompaniujący śpiewającej Celinie Nahlik-Petry.

W jednym z trzech tomików poezji lwowskich literatów, wydanych przez Biuro Informacji i Propagandy (BIP) Armii Krajowej pt. *Wierne promienie* pod redakcją Stefani Skwarczyńskiej znalazł się wiersz Juliusza Petrego pt. *Lewek ratuszowy*:

ra objęła dawne województwa północno-wschodnie (nowogródzkie, poleskie, wileńskie i w większości białostockie, do którego wcześniej należały późniejsze trzy powiaty woj. warszawskiego, czyli łomżyński, ostrołęcki i ostrowski) oraz dawne województwa południowo-wschodnie (lwowskie, tarnopolskie, stanisławowskie i wołyńskie). Tak określone Kresy wschodnie obejmowały ok. 52% powierzchni dawnej II RP (około 201 tys. km²) i około 25% jej ludności. Według danych ze spisu w 1931 r., zamieszkiwało je 13 021 300 ludności. Nie licząc tzw. tutejszych i najmniej licznych mniejszości (Rosjanie, Niemcy, Litwini, Czesi), Polacy stanowili 43% (5 597 600) tej ludności, Żydzi – 8,3% (1 079 100), Ukraińcy – 24,2% (3 151 000), Rusini – 8,8% (1 150 100), Białorusini – 7,6% (986 700).

Nastąpiło też dalsze zmitologizowanie Kresów jako miejsca polskiego męczeństwa – tu się przecież bierze początek zbrodni katyńskiej, bo to na Kresach wzięto do niewoli tysiące polskich oficerów, późniejszych więźniów obozów w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku; tu miały miejsce cztery wielkie deportacje i już po wojnie tzw. repatriacja i piąta deportacja (tzw. andersowców, czyli byłych żołnierzy armii gen. Andersa – z rodzinami, którzy po zakończeniu II wojny zdecydowali się powrócić do domów, które w nowych granicach znalazły się w ZSRR), gdzie skala represji przewyższyła represje Wielkiej Czystki w samym imperium sowieckim.

Wszystkie województwa wschodnie charakteryzował niski poziom urbanizacji, a przyniatająca większość ludności mieszkała na wsi. Daje się też zaobserwować następującą prawidłowość: poza nielicznymi powiatami ludność przeważnie niepolska, polskie są tylko dwory, Polacy też pojawiają się w roli urzędników państwowych, samorządowych czy policjantów lub właścicieli ziemskich. To wytwarza od razu silne napięcia społeczne. Polacy – to jakaś władza – oni, a niepolska wieś w mniemaniu jej mieszkańców jawi się jako obszar ucisku społecznego, narodowościowego, religijnego i ustawicznych konfliktów na różnym tle.

„Na Rusi – pisał Maurycy Mochnacki o wcześniejszej epoce – mniej daleko rodowitych Polaków jak Rusinów. Panowie katolicy, właściciele wsi są Polacy, chłop

MIŁY LEWKU LWOWSKI

*Miły nam, dobry lewku z ratuszowych progów,
Uśmiechem witający magistrackie dzieci,
Gdzieś się podział, gdzieś zniknął? Pewnie łapy
wrogów*

*Wyniosły cię w noc ciemną na cmentarz rupieci.
Dziś nam lwów nie potrzeba – wystarczą staliny,
Skradające się chytrze ku łatwej zdobyczy,
Lecz ty ojciec herbowy miałeś zwyczaj inny:
Uderzać, gdzie się tylko na swą dzielność liczy.
Rozgląda się żałośnie po pustym cokole
Drugi lewek, towarzyszu smutków i nadziei.
Otóż już na nas przyszły ostatnie niedole,
Wybiorą nas z gniazda wszystkich po kolei.
A może ty po prostu, bracie, zwiął bez znaku,
Kiedy znudzony śpiewem zadrzemał Nikita
I zieloną granicą chyłkiem, „wot sobaka”
Przemykasz się ku wyspie, co z mgieł wykwiła?
Kiedy się wreszcie znajdziesz w dżentelmenów kole
Zarycz mój miły lewku, wstrząśnij tą krainą.
Niech lordom z rąk wypadną lśniące parasole,
Niech zagrzmi lew brytyjski – gdy polskie lwy giną!*

Po wojnie stanął do pionierskiej pracy w odradzającej się radiofonii polskiej. W latach 1946–1948 zorganizował we Wrocławiu rozgłośnię i został jej pierwszym naczelnym dyrektorem. Miasto leżało w gruzach, podobnie ład, bezpieczeństwo i handel. Warunki życia i pracy były niesłychanie prymitywne i trudne. Budynek rozgłośni był zdewastowany i ograbiony. Wystarczy przypomnieć, że główna, piękna sala koncertowa z organami i kompletnym wyposażeniem służyła oddziałom armii radzieckiej za stajnię dla koni, a żołnierze zabawiali się strzelaniem do organowych fujar upajając się ich dźwiękiem i totalnym zniszczeniem.

Kiedy po dwóch latach odchodził z Wrocławia, powołany na dyrektora programowego Warszawy II, rozgłośnia wrocławska pełnym głosem brzmiała w eterze. Miała własny ambitny program muzyczny, literacki, rozrywkowy i społeczny. Po opuszczeniu Wrocławia, pozbawiony sprytu życiowego, nie potrafił załatwić sobie przydziału mieszkania w Warszawie. Zamieszkał u rodziny żony w Milanówku, w bardzo prymitywnych warunkach, w domku niepodpiwniczonym, bez bieżącej wody, gazu i kanalizacji, z ubikacją i studnią w ogrodzie. Mimo pogarszającego się stanu zdrowia, codziennie, do 1954 roku, w tłoku i na stojąco dojeżdżał kolejką WKD do pracy w Warszawie.

W 1951 roku otrzymał pierwszą nagrodę za słuchowisko *Nowa komedia rybałtowska albo ciężkie czasy*. Nie wszystkie utwory ogłaszał. Pozostało po nim m.in. kilka dramatów historycznych.

Jeszcze raz w 1952 roku powołany został do pionierskiej pracy przy organizowaniu telewizji, której lokal mieścił się na Pradze w jednym pokoju pozbawionym najprostszych urządzeń. Brakowało klimatyzacji. Prace utrudniało nieustannie migocące światło i bardzo wysoka temperatura otoczenia.

Był współautorem pierwszej w Polsce wydanej broszury pt. *Wśród światła telewizji*.

Bezgraniczne zaangażowanie od wielu lat w pionierskie prace dla polskiej radiofonii, zarówno w nowej Polsce, jak i w okresie okupacji i po wojnie, trudne i stresogenne prace, urągające warunkom mieszkaniowym i kilkuletnie dojazdy do pracy spowodowały w organizmie Juliusza Petrego nieodwracalne i postępujące zmiany chorobowe. Jednak do ostatnich chwil nie szczędził swych sił, udzielając rad i wskazówek młodym współpracownikom, ucząc ich głębokiego i rzetelnego oraz uczciwego stosunku do pracy, zyskując sobie ich wdzięczność i szacunek.

W 1956 roku doznał udaru mózgu z połowicznym lewostronnym niedowładem. Powalony chorobą, leczony w szpitalu w Otwocku, powoli odzyskiwał przytomność. Zaczął kojarzyć. Odzyskał pamięć i deklamował wiersze. Pamiętał daty, zdarzenia, imiona i nazwiska ludzi. Nadal jednak pozostawał bezwładny, wymagający stałej opieki i leczenia niegających się odleżyn. Wobec braku podstawowych warunków bytowych i higienicznych w milanowieckim domku, syn po interwencji w Ministerstwie Zdrowia zorganizował przewiezienie obłożnie chorego ojca samolotem sanitarnym do Krakowa, celem dalszego leczenia.

12 stycznia 1961 roku zmarł w Milanówku na zawał serca w wieku 71 lat. Tam też odbył się skromny pogrzeb przy udziale rodzi-

ny, kilku współpracowników z warszawskiego radia i garstki sąsiadów. Dziwnym zbiegiem losu grób w mazowieckim piasku wykopał mu kościelny milanowieckiej parafii, jego były uczeń z Państwowej Średniej Szkoły Technicznej we Lwowie, gdzie nauczał przed objęciem stanowiska w Rozgłośni Polskiego Radia we Lwowie.

Nad grobem żegnali zmarłego współpracownicy i przyjaciele. W eterze pożegnały Petrego rozgłosnie wrocławska i warszawska. Również w prasie krajowej i zagranicznej ukazały się liczne klepsydry i wspomnienia. Pozostali we Lwowie Polacy żegnali Go udziałem w nabożeństwie żałobnym w wypełnionej po brzegi katedrze lwowskiej. Juliusz Petry spoczywa w piasku mazowieckim z dala od swojej kolebki, grobów rodzinnych i kochanego miasta Lwowa, któremu był do końca *semper fidelis*.

Ocalała część jego dorobku literackiego i dorobek zawodowy zdeponowane są w Bibliotece Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu.



Celina Nahlik-Petry



Dom Polskiego Radia we Lwowie przy ul. Batorego

jest Rusinem, gnębionym od wieków przez pana. Pop jest jego dyrektorem moralnym. Car przez popa wpływa na niego". Misja cywilizacyjna polskiego ziemiaństwa pozostawiała wiele do życzenia, z czego niekonięcznie zdawano sobie sprawę.

Polityczne aspekty radiofonizacji Kresów Wschodnich były dostrzegane od samego początku rozwoju radiofonii w Polsce. Postulat budowy sieci radiostacji lokalnych w celu skomunikowania odległych wschodnich peryferii państwa z pozostałymi dzielnicami zauważono już w styczniu 1924 r., zwłaszcza że wschodni sąsiad – ZSRR – prowadził bardzo aktywną wojnę ideologiczną w eterze, w tym w językach mniejszości, propagując idee prowadzące w prostej konsekwencji do rozpadu polskiego państwa. I tak np. obszar Wołynia znajdował się w zasięgu stacji Charków I (fala 1293 m; nadajnik o mocy 10 kW), Charków II (fala 253 m, 20 kW), Winnica (274 m, 10 kW), Czernichów (296 m, 5 kW), Odessa (310 m, 10 kW), Dniepropietrowsk (329 m, 10 kW), Stalino (387 m, 10 kW), Kijów (400 m, 100 kW), nie licząc stacji nadawczych Mińska i Moskwy. Bez tych ostatnich stacji moc pozostałych wynosiła 175 kW. Tymczasem po stronie polskiej, na całych Kresach Wschodnich, znajdowały się zaledwie trzy stacje radiowe: Wilno (559,7 m, 50 kW, zasięg 140 km, uruchomiona 15 I 1928), Lwów (377,4 m, 50 kW, zasięg 100 km, od 15 I 1930) Baranowicze (577 m, 50 kW, od 31 VII 1938) o łącznej mocy 150 kW.

Najważniejszym czynnikiem powodzenia misji Polskiego Radia był czynnik ekonomiczny, rozumiany przede wszystkim jako zasobność ludności, która musi posiadać środki na zakup radioodbiornika. Jeszcze w latach 20. trzylampowy aparat typu „Marconi” kosztował 1400 zł. [...]

Tymczasem o ogólnej kondycji gospodarczej Kresów w przededniu wojny decydowały co najmniej trzy czynniki. Po pierwsze ogromne zapóźnienie cywilizacyjne, o czym wspominałem już, wyrażające się w braku dogodnej komunikacji i infrastruktury. Były to tereny ze słabo rozwiniętą siecią dróg bitych i kolei, a do leżących na podmokłych terenach wsi, np. na Polesiu, można było dostać się łodzią lub korzystając z systemu kładek biegnących przez bagna. Dojazd furmanki czy raczej sań był możliwy tylko w okresach

silnych mrozów. Główną gałęzią gospodarki było tam rolnictwo, które charakteryzowało się niską wydajnością z hektara i praktycznie nieużywaniem nawozów sztucznych, oraz leśnictwo, również prowadzone w formie ekstensywnej i bezplanowej. Wieś kresowa stosowała gospodarkę naturalną, była właściwie samowystarczalna i nie posiadała środków na zakup dóbr luksusowych.

Po drugie ziemie polskie, w szczególności Kresy, poniosły gigantyczne straty w wyniku I wojny światowej. Szkody materialne wyrządzone w czasie jej trwania wyniosły około 10 mld złotych dla całości ziem polskich, czyli blisko 1/10 całego majątku narodowego, co dawało 370 zł na głowę ludności i 300 zł na 1 ha. Należy też uwzględnić straty pośrednie spowodowane rabunkową gospodarką wojenną i obniżeniem się zdolności wytwórczych całej gospodarki. Na to nakładały się straty z wojny sowiecko-polskiej 1920 r. i straty powodowane działalnością band dywersyjnych przerzucanych z terytorium ZSRR w początkach niepodległości.

Wreszcie po trzecie czynnikami hamującym rozwój gospodarczy Kresów był wielki kryzys ekonomiczny lat 1929–1933, w krajach rolniczych, jak Polska, trwający dłużej, nawet do 1939 r.

Według stanu na 1 kwietnia 1938 r., w Polsce było zarejestrowanych 922,4 tys. abonentów, co dawało wskaźnik 29 radioabonentów na 1000 mieszkańców. W tej dziedzinie Polska jednak bardzo mocno odstawała od świata. I tak, biorąc pod uwagę ten sam wskaźnik radioabonentów na 1000 mieszkańców, w Stanach Zjednoczonych, w analogicznym okresie, przypadło 215 radioabonentów, w Danii – 201, w Szwecji – 195, w Anglii – 187, w Niemczech – 154. Lepsze parametry mieli na ogół inni sąsiedzi Polski, np. Łotwa – 68, Węgry – 46.

W podziale na województwa, nie biorąc pod uwagę Warszawy, gdzie wskaźnik abonentów na 1000 mieszkańców wynosił 104, najlepsza sytuacja panowała w województwach centralnych i zachodnich oraz na Śląsku (75). Na Kresach zbliżone do średniej krajowej wskaźniki miały województwa wileńskie – 26 i lwowskie – 28. Pozostałe miały ten parametr znacznie niższy. Wynosił on odpowiednio dla województw: białostockiego – 19, nowogródzkiego – 11, poleskiego – 12, wołyńskiego – 10, stani-

sławowskiego – 10; a najniższy był w województwie tarnopolskim – 9.

W Polsce międzywojennej na radio stać było tylko ludzi zamożnych. Na Kresach było jeszcze gorzej. Tej miazdzącej w sumie statystyki nie zmienia fakt, iż w tamtej epoce radia często słuchało się na imprezach zbiorowych – w szkołach, domach ludowych, na festynach. W 1933 r. w Polsce było 927 domów ludowych, w tym w województwach wschodnich 97, a liczba szkół wynosiła około 30 tys. i znów najmniej było ich na Kresach.

Mieszkańcom starało się przyjść z pomocą wojsko, zwłaszcza KOP; radioodbiorniki pojawiły się na ogół we wszystkich urzędach gminnych, w świetlicach organizacji społecznych i stowarzyszeń, w spółdzielniach, na zamożniejszych parafiach i we dworach. Również ceny radioodbiorników relatywnie obniżyły się i np. radioodbiorniki „Echo” w 1935 r., w zależności od typu, kosztowały od 144 do 175 zł. Brak jednak było dobrze przemyślanej strategii rozwoju radiofonii polskiej. Jej niedorozwój na Kresach Wschodnich i brak oferty antenowej dla mniejszości narodowych był bardzo niebezpieczny dla państwa, gdyż w miejsce kształtowania się pożądanych postaw propaństwowych sowiecki sąsiad epatował swoją ideologią, przez co – jak zauważa prasa – „stwarza specyficzne niebezpieczeństwo czerpania kultury przez tę ludność nie z zachodu, ale ze wschodu [...], politycznych poglądów wręcz destrukcyjnych, agenturalnych, wywrotowych”. I trudno uznać za panaceum dekret Prezydenta RP o ochronie niektórych interesów państwa z 22 XI 1938 r., którego artykuł 13 stanowił, że minister spraw wewnętrznych władny jest na drodze rozporządzeń wprowadzić zakaz publicznego odbioru określonych stacji zagranicznych.

Czynniki ekonomiczny i organizacyjny powodowały więc, że misja Polskiego Radia nie mogła być realizowana w sposób satysfakcjonujący, a zauważmy, że radio mogło odegrać znaczącą rolę w kształtowaniu postaw propaństwowych i patriotycznych, mogło łagodzić napięcia społeczne i być doskonałym pomostem w aspekcie kulturowym.

Z idei pogranicza wyrasta określona teoria kultury. „Pogranicze ucieleśnia polifonicz-

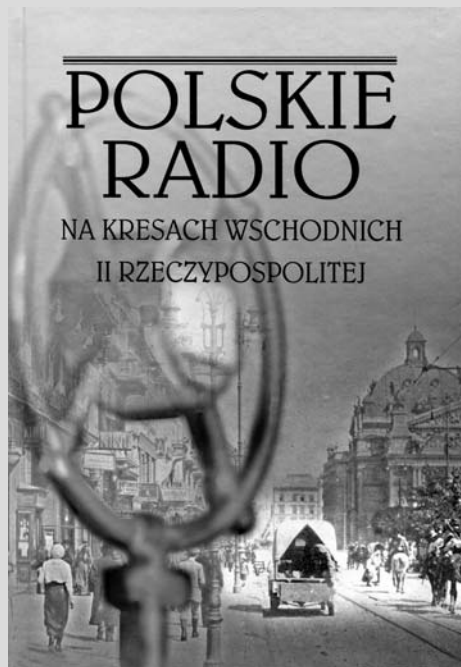
ność, wielogłosowość. Na pograniczu *słowo własne* obrasta w konteksty *słów cudzych*. Wypowiedź jest zawsze nasycona odgłosami dialogu. Moje *ja* zawsze graniczy z *innoscia*. Dopiero pogranicze rozstrzyga o sposobach ludzkiego istnienia. Jedna kultura w oczach innej kultury odsłania się pełniej i głębiej. Doświadczenie to stwarza możliwość zobaczenia siebie i własnej kultury w lustrze innych kultur. Obcy przestaje być obcym, a staje się jedynie innym, wskutek czego mamy szansę na naukę tolerancji. Uznanie złożoności pogranicza jest zatem zgodą na wizję świata aksjologicznie ambiwalentnego, tzn. takiego, w którym sądy wartościujące współistnieją ze sobą i nie przedstawiają się jako alternatywy”.

Jak dowiodły wydarzenia po 17 września 1939 r., na Kresach wszystkie mniejszości (z wyjątkiem Ormian, Tatarów i Karaimów) wzięły udział w aktywnej destrukcji państwa polskiego, przyczyniając się w dużej mierze do znacznych strat ludzkich i materialnych.

Polsce zabrakło czasu i pieniędzy, aby w pełni skorzystać z dobrodziejstw tygla narodów.

I to nie nasza wina.

* Część tytułów licznych dzieł wymienionych pisarzy pominięto.



SYLWETKI FALOWCÓW

PIERWSZY ROK W SZKOCJI

Czerwiec 1940 roku. W starym parku szkockiego magnata koło górniczego miasteczka Douglas pełno polskich żołnierzy we francuskich mundurach. Uwijają się wszędzie, brodząc po kolana w wilgotnej trawie, która moczy im owijacze i buty. Jedni w beretach, inni w dwurożnych furażerkach, czasem mignie błękitny płaszcz, weteran pierwszej wojny światowej, przesuwają się grupki w gumowych, dziwacznych pelerynach. Tu osmolone postacie instalują połową kuchni, tam stukają młotki, wbijając kołki namiotów w pełną korzeni leśną ziemię.

Obóz liczy sobie zaledwie kilka dni życia, wszystko jeszcze w stanie płynnym, wszędzie pełno ruchu.

Chwilami ma się złudzenie, że to wakacje, że rozkłada się tu na krótki pobyt wycieczka harcerzy. Ale wystarczy spojrzeć na twarze, a złudzenie pryska. Czasem w ferworze pracy zabłysną oczy, uśmiech ożywi rysy, ale trwa to tylko przez mgnienie oka i twarze znów krzepną w zadumie. Jest o czym dumać.

To, co było – niewesołe, to, co będzie – niewiadome.

Na rzadko zadrzewionym pagórku wyrosły niewielkie namioty. Jeden z nich ma na swym płótnie jakieś rysunki nakreślone węglem i trochę jest krzywy, bo ustawiono go na zboczu wzgórza. Do pnia pobliskiego drzewa przymocowana umywalnia: puszka z konserw z zatkniętą kołkiem dziurą w denku.

Pod innym drzewem zbity z deszczulek stolik i ławeczka. Dokoła pełno jam króliczych, w dole szumi potoczek, nad nim z piskiem przelatują mowy, z oddali przytłumiony odgłos maszyn górniczych.

Z namiotu wysypują się żołnierze. Od razu widać, że każdy z innego rocznika, maszerują jednak dziarsko, jakby zęby zje-

dli na wojaczkę. Ustawiają się w dwuszeleg na łące, na której zgromadziły się już setki widzów w mundurach, Zaczyna grać harmonia, rozlega się śpiew. To „Fala” daje improwizowane przedstawienie, pierwsze po wyładowaniu na szkockiej ziemi.

Na łące w starym szkockim parku znalazła się tylko część Zespołu Lwowskiej Fali. Prócz Budzyńskiego byli tu Szczepko, Tońko i Wieszczyk, a wkrótce dołączyć do nich miała Włada Majewska, która jako „cywil” przebywała jeszcze w kwarantannie angielskiej. Ta lwowska piątka – to wszystko, co zostało z dawnego zespołu. Ubytek Pana Strońcia, Aprikosenkranca, Untenbauma, Ciotki Bandziuchowej, Love Short, Marcelka i innych, którzy nie wyjechali z „Falą” ze Lwowa, uzupełniało za granicą kilkanaście osób ze Lwowa i z różnych stron Polski, które przewinęły się kolejno przez jej szeregi, lecz dawny lwowski trzon „Fali” utrzymał się do końca ten sam.

Z obozu w *douglasowskim* parku zaczęła „Fala” jeździć z występami do innych obozów. Jeździła wojskowymi ciężarówkami, nieraz kilkadziesiąt kilometrów, a że szkocka pogoda słynie ze swych kaprysów, zespół często przybywał do celu zmoknięty i zmarznięty. Występy odbywały się jednak już nie na łące, jak w pierwszych dniach, lecz w obszernych namiotach. Pojawiły się nawet rekwizyty teatralne. Jednym z pierwszych był potężny gwóźdź odgrywający główną rolę w skeczu wyśmiewającym procedurę zaopatrywania żołnierzy w rzeczy konieczne, ale nieprzewidziane staroświeckim regulaminem, aktorzy odziani byli już nie w resztki francuskich mundurów, których nieodłączną część stanowiły odwijające się wciąż owijacze, lecz w sportowego kroju brytyjskie *battle-dressy*.

„Fala” przemianowana na „Czołówkę Teatralną nr 1” nabierała coraz więcej wojskowego ducha pod wpływem wyżywienia otrzymywanego z kuchni oddziału żandarmerii wojskowej i odpraw przeprowadzanych przez zawodowego majora pod starym dębem w parku. Spośród umiejętności wojskowych przyswoiła sobie najlepiej salutowanie, bo w parku kwaterowało tylu oficerów, że salutowało się co krok od rana do wieczora, a salutowało się nie po naszymu, ale po brytyjsku całą dłońią, bo taki wyszedł rozkaz.

W podróżyach wojskowym wozem Melpomeny zdarzały się różne przygody. Po dotarciu do jednego z naszych obozów zastała tam „Fala” niebywały ruch. Oddziały maszerowały w tę i tamtą stronę, warczały silniki lor załadowanych żołnierzami w pełnym bojowym ekwipunku, nie było z kim gadać.

Przyjechaliśmy na godzinę przed zapowiadzanym przedstawieniem, a tu nic dla nas nie przygotowano, nikt się nami nie zajmuje, nikt nic nie wie. Nawet jedyny wojskowy niebędący w ruchu żandarm, który pilnował aresztantów w płóciennym więzieniu, nie mógł nas poinformować, co się stało.

Chcieliśmy już wracać, ale nagle jak na skinienie różdżki czarodziejskiej wszystko się odmieniło. Oddziały wróciły do obozu, a nas obściskała gromada gospodarzy, przepraszając na wyścigi za dziwne przyjęcie. Otóż, jak się okazało, na kilkanaście minut przed naszym przyjazdem Brytyjczycy nadali alarmowy sygnał: „Inwazja”. Kto żył, zamiast na przywitanie „Fali”, ruszył do boju z Hitlerem.

Alarm okazał się jednak fałszywy, Hitler nie zepsuł nam przedstawienia i wszystko zakończyło się happy-endem. Ta nasza inwazyjna przygoda dała Szczepkowi w ręce nowy argument w staraniach o „krótką broń”. Ale o tym na innym miejscu.

Zdarzało się, że gdy wracaliśmy ze swych imprez do domu późną nocą, kiszki nam marsza grały, i w kilku innych miejscach. Ale z reguły po występie zapraszał nas miejscowy korpus oficerski na wspaniały – jak na obozowe warunki – bankiet, na którym stoły uginały się od jadła i napojów. Nie pamiętano wówczas o różnicy stopni wojskowych, a gdy pamiętano, zdarzyć się mogły różne rzeczy.

Tak na przykład gdy daliśmy przedstawienie dla jednostki, którą dowodził pułkownik Sosabowski, organizator słynnej brygady spadochronowej, świetny oficer, lecz niezwykle służbista, zaproszono nas na kolację w dwóch grupach. Jedna, złożona z porucznika, który był wojskowym szefem „Fali”, i dwóch „cywilów”, tj. Władę Majewskiej i Miry Grelichowskiej, ucztować miała w jednym pokoju w towarzystwie panów oficerów, a cała reszta zespołu, w której nikt nie posiadał stopnia oficerskiego – w drugim.

Mira i Włada oświadczyły jednak stanowczo, że ich miejsce jest wśród kolegów

i nie dały się nakłonić do zmiany stanowiska. Wobec tego pułkownik Sosabowski złamać musiał regulamin służbowy i zorganizował kolację wspólną, po której jakby na przeprosiny rozkazał znajdującym się w jego jednostce artystom zabawić nas swoimi występami. Każdy z nich, zaczynając występ, stukał obcasami przed dowódcą i „meldował się”, po występie również służył się odmeldowywać.

Już w tym *douglasowskim* okresie porwała się „Fala” na przedstawienie, które byłoby zrozumiałe dla Szkotów. Kilka punktów programu przetłumaczyli wojskowi angielsi na język angielski, w innych ułatwiała Szkotom zrozumienie tekstu mimika aktorów. Do grona aktorskiego zaproszono kilkoro szkockich dzieciaków, z którymi zdążyliśmy się już zaprzyjaźnić. Gwoździem tej rewii był końcowy numer, w którym małe *szkocięta*, trzymając się za ręce z „falowcami”, tańczyły w kole, śpiewając z wielkim przejęciem *Please give me a souvenir*, piosenkę skomponowaną specjalnie dla tego programu. Powodzenie było ogromne.

Przedstawienia te odbywały się w sali kinowej Douglasu. Brytyjskim zwyczajem Szkoci jak zawsze w kinie – palili papierosy. Włada i Mira skarżyły się, że dym im przeszkadza, wywiesiliśmy więc tabliczkę z prośbą o wstrzymanie się od palenia. Na następnym przedstawieniu nikt już nie palił.

W dwa lata później, gdy z nowego miejsca postoju przyjechaliśmy do Douglasa na urlop i poszliśmy do kina, zauważyliśmy ku wielkiemu swemu zdumieniu, że na widowni ani jedna osoba nie pali. Nasza prośba przetrwała, mimo że my już dawno opuściliśmy Douglas. *Douglasowskie* kino, dzięki naszym wrażliwym paniom i uprzejmym Szkotom, stało się jedyną chyba na wyspach brytyjskich salą widowiskową, w której nie wznosiły się kłęby dymu, a na dywany i chodniki nie sypały się niedopałki.

Z końcem jesieni, gdy nasze wojsko przeniosło się z namiotów na leże zimowe do miasteczek i miast, „Fala” zakwaterowana została w pięknym starym mieście Perth, które na dłuższy czas stało się jej bazą wypadową. Swoje podróże odbywać tu zaczął zespół w wygodnych autobusach, a występował już nie w namiotach, lecz w kinach, salach teatralnych lub halach fabrycznych. Po obsłużeniu wszystkich oddziałów polskich w Szkocji, wyruszył zespół

do polskich lotników w Anglii i do polskich marynarzy na statkach wojennych i handlowych. Przez zimę i wiosnę jeździł po całej Wielkiej Brytanii.

W rocznicę swego pierwszego występu w Szkocji przybyła „Fala” do miasteczka Forfar, siedziby dowództwa 10 brygady kawalerii pancernej. „Dziennik Żołnierza” w recenzji z występu „Fali”, nawiązując do tej rocznicy, pisał 30 czerwca 1941 r.: *Tym razem zobaczyliśmy ich już nie na murawie [...] wystąpili w sali kinowej, gdzie są światła, reflektory i kurtyna, a publiczność siedzi w pluszowych fotelach. Dali przedstawienie pt. „Chłopcy z Polski”. W części pierwszej, złożonej z pieśni, recytacji, monologów, wystąpili artyści jako żołnierze naszej armii w Wielkiej Brytanii i na Bliskim Wschodzie, jako nasi marynarze i lotnicy. Przyoblekli się w słowa i melodie wspomnienia... Powiał po sali wiatr zadumy i dumy, żale za tym, cośmy stracili, i wiary, że to własnymi rękami odzyskamy.*

W części drugiej królował uśmiech. Każdy punkt doskonale zaprojektowany, wyreżyserowany i wykonany. Trudno określić co było lepsze, śliczne „Wspomnienia”, aktualne komunikaty, świetna lekcja gimnastyki, zjawy Strońcia, Aprikosenkranca i Untenbauma (role tych artystów, którzy pozostali w Polsce, grane były przez ich kolegów), potpourri operetkowe, satyryczny dziennik radiowy... Słyszeliśmy i widzieli przezabawne kłopoty strzelca służbowego, uznanego w pułku za specja w stawianiu kabały. Barwne stroje w „Weselu ludowym” przykuwały do siebie oczy, obrzędowe pieśni i tyrady wywoływały uśmiech i łzy rozrzewnienia. Pod koniec wodewil na tle... kancelarii wojskowej z dziesiątkami komicznych sytuacji, komedią pomyłek, śpiewami, tańcami i muzyką. „Chłopcy z Polski” to chyba najlepszy i najbogatszy program, jaki dała „Fala”. Mógłby śmiało stanąć obok jej dawnych lwowskich audycji, a może nawet je przewyższa.

Miedzy pierwszym, improwizowanym występem „Fali” na ziemi szkockiej, a wczorajszym przedstawieniem różnica taka, jak miedzy piękną melodią graną na skrzypcach a melodią tą w wykonaniu dużego chóru i wspaniałej orkiestry. Ale melodia ta sama: szczery, za serca chwytający sentyment, złoty humor, nastrój swojszczyzny i głęboka wiara, że będzie lepiej.

SZCZEPKO ROZSTAJE SIĘ ZE SZCZEPKIEM

Przed świtem zbudziło mnie dotkliwie zimno. Otworzyłem oczy i ku swemu zdumieniu zobaczyłem Kazia Wajdę w piżamie, tańczącego przed hotelowym lustrem. Okno otwarte było na oścież i stamtąd to szła fala chłodu na mnie w łóżku i na Kazia przed lustrem. Działo się to w Paryżu, w małym hoteliku przy Gay Lussac, był rok 1940, marzec.

Wajda spostrzegłszy, że się obudziłem, skoczył ku mnie, okrył kocem ze swego łóżka i wyjaśnił sytuację. Oto tego ranka zbudził się jak połamany. *Po tej jeździe z Rumunii – mówił – pobolewa mnie w krzyżu i kark mi jakby zeszytywniał. Chciałem trochę pogimnastykować się i nałykać świeżego powietrza, aby się rozruszać.*

Tego dnia gimnastyka przy otwartym oknie trochę mu pomogła. Tak mu się przynajmniej zdawało. Później jednak nie pomagała. Zajęli się tym „pobolewaniem w krzyżach” nasi lekarze. Orzekli, że sprawa poważna i że natychmiast trzeba rozpocząć leczenie. Z kręgosłupem coś nie w porządku, chrząstki wapnieją, uciskają na nerwy, stąd bóle i inne dolegliwości. A zaczęło się to wszystko bynajmniej nie w Rumunii, lecz już dawniej, w Polsce, jak Kazio przyznał się lekarzom. Podstawą leczenia miało być przebywanie w suchym, ciepłym klimacie i odpoczynek. Ale ani Paryż, ani Bretania, ani



Kazimierz Wajda – Szczepko

okolice Francji, dokąd jeździła „Fala” z występami, nie mogły pochwalić się takim klimatem w ową wiosnę, a odpoczynek był marzeniem ściętej głowy, bo występy odbywały się prawie codziennie.

Potem przyszła kapitulacja Francji, pierwszy nasz obóz w Szkocji i dżdżyste, chłodne lato, spędzone tam w namiocie, gdzie spało się na pościeli ze świerkowych gałązek.

Choć noc przespana na takim pościeliu i przesiąknięte wilgocią powietrze nie nastrajały Wajdy do aktorskich wyczynów, codziennie grał jak i inni koledzy „w teatrze na trawie”, jak te pierwsze występy „Fali” na szkockiej ziemi nazwał organ prasowy polskiej armii. Pisał o nich: *Widownia – łąka, na której przed godziną jeszcze pasły się owce. Scena – ta sama łąka trochę dalej. Dekoracje – krzaki i drzewa. Nad widownią i sceną – niebo. Nie ma rekwizytów, kurtyny, mikrofonów, amplifikatori...*

Z całego teatru pozostało tu tylko to, co najkonieczniejsze, publiczność, program, aktorzy i autor...

O setki mil są od kraju, który został daleko, za górami, za lasami. Ale i tym co na widowni, i tym co na scenie wydaje się przez chwilę, że są w domu, u siebie. Coś swojego, z czym żyliśmy się tam tak blisko, co tyle razy wywoływało uśmiech na nasze twarze, a czasem wyciskało łzy z oczu, pojawiło się nagle – tutaj w Szkocji, dokąd tak niespodziewanie pchnęły nas losy wojny. Jakby powiał wiatr z kraju i przyniósł stamtąd coś miłego, z czym spłotło się niejedno uczucie, niejedno wspomnienie...

Tak... były to niezapomniane chwile. Po zostaną na długo w pamięci widzów i artystów. Ale Wajda musiał wkrótce potem jechać do szpitala, bo stan zdrowia bardzo mu się pogorszył. Nieco go tam podreperowali, zaczął znów jeździć z „Falą”, ale po kilku tygodniach powrócił do szpitala, gdyż nękająca go choroba stawała się nie do zniesienia. Tak się zaczęła jego Odyseja w Szkocji i tak już było do końca, przez siedem lat: występy w ciągu kilku tygodni, potem kilka tygodni szpitala i rekonwalescencja... i znów od początku. W przerwach między pobytami w szpitalu grał Wajda jak za najlepszych swoich czasów i zbierał jak dawniej gorące oklaski, gorętsze nawet niż w Polsce. Widząc go na estradzie, nikt nawet nie przypuszczał,

że przed chwilą za kulisami zęby zaciskał z bólu. Raz po raz na widowni wybuchały salwy śmiechu, a on dziękując za owację, kłaniał się zgrabnie z wdzięcznym uśmiechem, jak za swych studenckich czasów we Lwowie. Salwy śmiechu wybuchały oczywiście – wtedy gdy występował jako Szczepko, bo zaczął grać w tym okresie również role poważne i występować jako recytator.

Dlaczego nie pozostał przy Szczepku? Przyczyn było kilka.

Szkocki klimat, który wpłynął na pogorszenie jego zdrowia, oddziaływał też źle na Henia Vogelfängera. Henio również zapadać zaczął często na zdrowiu. Raz były to nerwice, kiedy indziej zapalenia i przeziębienia. I on stał się gościem szpitali. Zdarzało się więc często, że jeden albo drugi, albo też obaj byli w szpitalu. W żadnym z tych wypadków nie można było oczywiście dawać do programu dialogu Szczepka i Tońka. Jeśli na placu boju zostawał Henio – dawał sobie radę w ten sposób, że zamiast dialogu Szczepka i Tońka dawał monolog Tońka. Napisał i wykonał tych monologów kilka, a wszystkie cieszyły się dużym powodzeniem. Największy sukces pośród nich osiągnęła rozmowa Tońka-żołnierza ze szkocką telefonistką. Publiczność zaśmiewała się do łez. Jeśli swego partnera dialogowego pozbawiony był Wajda, występował z recytacjami, albo też grywał jakąś rolę w skeczu. I w jednym, i drugim wypadku widownia darzyła go rześzystymi oklaskami. Często zdarzało się jednak, że bijąc brawo Wajdzie-recytatorowi, wołali żołnierze: Szczepko, Szczepko. Dopominali się biedacy w ten sposób o swe ulubione dialogi, bo słyszeli je coraz rzadziej...

A było tych dialogów mniej nie tylko z powodu choroby. Jedną z przyczyn stała się również rywalizacja ich autorów. Kto pisał dialogi? W przedmowie do zbioru dialogów Szczepka i Tońka, wydanego we Lwowie w 1934 r., dyrektor Lwowskiej Rozgłośni Juliusz Petry twierdził, że Szczepko i Tońko *dialogi tworzą wspólnie lub na zmianę*. Omawiając początki ich audycji pisał: *Na razie górą był Szczepko – Kazimierz Wajda, energiczny, rezonerski, jakby żywcem wyjęty z galerii typów zza drugą. Ale wkrótce już zrównał się z nim Tońko, który skromną z początku postać Szczepkowego kolegi i przyjaciela podniósł do rangi interesującej,*

nieraz wprost fascynującej osoby komedii. Otóż ów proces „równania się” Tońka ze Szczepkiem i przemiany jego w fascynującą osobę komedii, stwierdzony przez J.S. Petrego odbywał się z biegiem lat coraz intensywniej. Jednak Szczepkowi trudno było pogodzić się z faktem, że Tońko, ten dawniej „pozornie głupi kompan” – jak go określił J. Petry w swej przedmowie – *ciągający naiwnie Szczepka za język*, nie jest już tym Tońkiem z pierwszych dialogów, lecz zdobył sobie w dialogach o wiele ważniejsze miejsce. Z takiej postawy Szczepka nie mógł być zadowolony Tońko. Wywiązało się między nimi współzawodnictwo, które nie obywało się bez tarć.

Rywalizacja między współautorami dialogów przybierała na sile. Przez kilka lat wychodziło to tylko dialogom na korzyść, obaj autorzy prześcigali się w pomysłach, w wynajdywaniu jędrnych lwowskich powiedzonek, tworzeniu przekomicznych sytuacji. Wyniki były świetne. Powstawały takie perły humoru jak dialogi o „dobrym wychowaniu”, o „karnawale”, „bakteriach”, o „królu Sobieskim” i dziesiątki innych.

Dialogi stały się „gwoździem” programu „Wesołej Fali”, zdobyły sobie olbrzymią popularność w całej Polsce. Szczepka i Tońka proszono o udział w warszawskich imprezach artystycznych, gdzie występowali obok najlepszych artystów stolicy. Zagrali główne role w filmie *Jutro będzie lepiej*, którego scenariusz napisano specjalnie dla nich. Film miał ogromne powodzenie, nie schodził z ekranu przez długi czas.

Jeździli z występami do Gdyni, Katowic i do szeregu innych miast, wszędzie widownia przyjmowała ich entuzjastycznie, tournee Szczepka i Tońka było jednym pasmem sukcesów.

Gdy stanęli u szczytu powodzenia, wybuchła wojna. Obaj znaleźli się za granicą. Usunęła się im spod nóg ziemia lwowska, z której wyrosła ich twórczość. Załamali się jak tyłu innych.

W nowej atmosferze rywalizacja ich, która w kraju dawała tak świetne wyniki, doprowadziła do stopniowej likwidacji dialogów. Teraz trudniej im było współpracować ze sobą. Napisali jeszcze w Paryżu „Arkusze ewidencyjne”, śmiałą satyrę na polską emigracyjną biurokrację wojskową, z którą zetknęliśmy się na progu Francji. Zdawało się,

że ogromny sukces tego dialogu wyrwie jego autorów z nastroju, jaki ogarnął ich na obcej ziemi. Niestety był to tylko słomiany ogień. Po kilku próbach, jakie następowały w coraz dłuższych odstępach, przestali tworzyć nowe dialogi. Jeśli zdrowie im pozwalało na równoczesną pracę w zespole, wykonywali swe dialogi pochodzące z dawniejszych czasów, albo też nawet grywali – każdy z osobna – w skeczach przez siebie napisanych.

Martwiliśmy się. Przecież dialogi Szczepka i Tońka były dla nas, dla tysięcy polskich żołnierzy częścią Lwowa, czymś takim jak siedzące pod ratuszem lwy, jak Wysoki Zamek, jak bernardyński zegar czy Stryjski Park. Były lwowską relikwią, która wraz z nami wędrowała po świecie. A teraz musieliśmy bezsilnie patrzeć, jak ta relikwia z każdym dniem niszczeje i zanika. Bezsilnie, bo nie było siły, która nakłoniłaby Wajdę i Vogelfängera do podjęcia na nowo autorskiej współpracy.

Próbowaliśmy nie raz, ale zawsze bez skutku. Poruszyłem też tę sprawę nie wiadomo po raz który z rzędu, gdy mieszkaliśmy z Wajdą w Edynburgu przy tej samej ulicy. Bywałem wtedy u niego prawie codziennym gościem. Lekarze zaordynowali mu dwa tygodnie bezwzględnego wypoczynku.

Było lato, pogoda – jak na Szkocję – piękna, z sąsiednich ogrodów napływał zapach rozgrzanych słońcem liści i trawy i ściszonej odległością śmiech bawiących się dzieci. Kazio leżał na tapczanie, mizerny, ale ze spokojem na twarzy, nastrój szkockiego lata kojąco działał na jego nerwy. Rozmawialiśmy o nie tak dawnych, a – zdawałoby się – ogromnie odległych czasach. Wspominaliśmy figle, jakie wspólnie płataliśmy w rozgłośni profesorowi Wackowi, Kaziowe perypetie sercowe, wieczory u Altana, gdzie wraz z właścicielem tej przystani artystów, dziennikarzy i radiowców, doktorem Edziem, wyśpiewywaliśmy chórem lwowskie piosenki. Przypominaliśmy sobie etapy rywalizacji Kazia z księdzem Rękasem, kiedy to obaj prowadzili zbiórkę na samoloty, Kazio jako referent aktualności – na samolot bojowy, a ksiądz jako kierownik akcji *Radio chorym* – na samolot sanitarny. Rozmawialiśmy o wielkim skandalu, jaki wybuchł w rozgłośni z powodu „holenderskiej krowy” i rozszerzył się potem na całe Polskie Radio, o karze, jaką za to wymierzono „Fali”, likwidując ją na

kilka miesięcy, o delegacjach, jakie przyjeżdżały z całej Małopolski, a nawet z innych części kraju, by gromkim głosem, a nawet uderzeniami pięścią w biurka protestować przeciw zamykaniu ust „Fali”, a w pierwszym rządzie Szczepkowi i Tońkowi, bez których, jak twierdzili – niedziela im już nie miła, bo nie słyszą ich głosu o dziewiątej wieczorem.

W tym miejscu lwowskich wspominków nieuchronnie nadchodził moment, kiedy cisnęła się na język sprawa dalszego losu Szczepkowo-Tońkowych dialogów. Kazio próbował uchylać się od rozmowy na ten temat, zapraszając na nową filiżankę własnoręcznie zaparzonej czarnej kawy i kierując wspominki na inne tory. Ale któregoś dnia nie wytrzymał. Gdy porównując czasy dawnej świetności dialogów i dzisiejszego ich upadku, zacząłem dopominać się o ich renesans, Kazio wyłożył mi swoją teorię.

Jego zdaniem zmierzch dialogów rozpoczął się już we Lwowie. W okresie ich największej popularności, kiedy wszyscy sądzili, że od Szczepka i Tońka oczekiwać należy jeszcze lepszych rzeczy, on zdał sobie sprawę, że dialogi powoli się kończą. *Wszystko ma swój koniec – mówił – tak samo i one. Osiągnąłem w nich wszystko, co się dało, dalsze rozbudowywanie ich było niemożliwe.*

Szczepko i Tońko nie mogli przecież wyjść poza wąską tematykę lwowskiego przedmieścia, nie mogli rozszerzyć swych horyzontów, bo przestaliby być sobą. Kazio marzył o czymś większym niż Szczepko, o czymś – jak mówił – poważnym.

Dla Kazia przedmiotem marzeń były bohaterские role w dramatach i recytacje trzech wieszczów, Wyspiańskiego, Kasprowicza...

Jeżeli chodzi o materialną stronę zagadnienia, to Szczepko przysparzał mu spory dochód, ale Kazio nie wierzył, aby to mogło trwać długo, i szukał stałej, solidnej podbudowy. Został speakerem rozgłośni, a potem gdy go to – mimo wielkiego powodzenia wśród słuchaczy – znudziło, objął w rozgłośni stanowisko pierwszego referenta aktualności.

Wyżywał się wspaniale na tym nowym podówczas terenie, jego reportaże dawały mu duże zadowolenie, no i stały, pewny grunt pod nogami. *A tu jak widzisz – kończył Wajda rozważania – dostaję brawa za swoje recytacje i za swoje role, nie muszę koniecznie trzymać się Szczepka. Może bym*

zresztą jeszcze przez jakiś czas go trzymał, ale współpraca z Heniem coraz bardziej się nie klei.

Tak mniej więcej wyglądała Kaziowa teoria. Gdy jej słuchał, cały czas miałem wrażenie, że Kazio dorobił ją do rozwijającego się poza nim stanu faktycznego, dla pokrzepienia swego serca i że w głębi duszy bolał nad schyłkiem dialogów więcej niż my wszyscy razem. Toteż gdy skończył, pokiwałem głową i przeszedłem do innego tematu.

Po powrocie do kraju Wajda znalazł wymarzone ujście dla swej artystycznej energii. Jeździł z recytacjami, nagrywał reportaże, wygłaszał konferansjerki, a wszystko to szło mu bardzo dobrze. Dostał wysokie odznaczenie państwowe, miał wysoką gażę i piękne honoraria. Niestety choroba rozwijała się nieubłaganie i podrywała siły z każdym rokiem. Gdy widziałem go na scenie i za kulisami we wrocławskiej Hali Ludowej w 1953 r., był to już tylko cień dawnego Kazia, ogromnie zmizerniał. Nadrabiał jednak miną i grał jak za dawnych, dobrych lat. Widownia nie chciała go puścić ze sceny, brawa były naprawdę huraganowe.

W dwa lata później Wajda już nie żył. Spoczął w Krakowie na Cmentarzu Rakowickim.

ROZMOWY Z HENIEM

Z Heniem Vogelfängerem zawsze miałem o czym rozmawiać, dobrze na ogół rozumieliśmy jeden drugiego. W Paryżu



Henryk Vogelfänger – Tońko

w hoteliku Gay Lussac, w St. Nazaire we wspólnym pokoju, w szkockim Perth u Peggy Chalmers i podczas niezliczonych okazji w Edynburgu gawędziliśmy o przeróżnych sprawach.

Często poruszaliśmy problem żydowski, Henio był Żydem z pochodzenia, ale poza „Falą” mało kto wiedział o tym. Nie miał rysów semickich, a po polsku – zależnie od okoliczności – mówił świetną polszczyzną lub cudowną gwarą łyżczakowską.

Kim jest Henio, zrozumiałem podczas pewnej kolacji w Edynburgu pod koniec wojny. Zasiadliśmy przy stoliku w restauracji przy Princess Street. Cicho grała muzyka, od stolików szedł szmer rozmów, w łagodnym świetle lamp sala wyglądała na oazę spokoju i radości życia.

Henio był tego wieczora milczący i ponury. *Co ci jest ? – zagadnąłem go – możesz chory? – Daj mi spokój. – Ale nie dałem mu spokoju. Wydobyłem wreszcie z niego, że ma kłopoty i to nie natury osobistej, ale ogólnej. Wszyscy mieliśmy wówczas takie zmartwienia. Był to okres, kiedy Polacy wytoczyli już z siebie krew w powietrznej bitwie o Wielką Brytanię, w atakach na Monte Cassino i na dziesiątkach innych pól bitewnych, kiedy daliśmy Anglii wszystko, cośmy mogli, a ona puściła nas na handel, jak murzynów z Chaty Wuję Toma. Powiedziałem więc Heniowi: Przecie i ja mam te zmartwienia, a jednak... – Wierz mi, że ja mam tych zmartwień dwa razy tyle co ty. – Jak to ? –*

– Ano, ty masz tylko swoje polskie, a ja swoje polskie, i swoje żydowskie...

Długo myślałem nad tymi słowami Henia: swoje polskie i żydowskie. Zrozumiałem je w pełni, gdy w jakiś czas potem zetknąłem się na Polskim Wydziale Medycznym w Edynburgu z lekarzem Amerykaninem polskiego pochodzenia, który do swego amerykańskiego dyplomu dodał tam dyplom polski, bo tak mu nakazał jego ojciec. Gdyśmy się rozgadali, zapytałem, czym on się w istocie czuje, Amerykaninem czy Polakiem. Zastanawiał się dłuższą chwilę, potem rzekł z taką miną, jakby za coś przeproszał: *Polakiem i Amerykaninem – Ale co panu bliższe, Ameryka czy Polska?*

Sercem bliższa mi Polska, bo to kraj mojej matki i ojca, ale rozumowo biorąc – Ameryka, bo tam się wychowałem i tam wszystko i wszystkich rozumiem.

Pojałem wówczas, że dualizm narodowościowy jest nie tylko możliwy, ale i wcale nie rzadki.

Henio, wychowany w polskiej atmosferze, z Żydami przez długi czas nie miał prawie nic wspólnego.

Byłby może i zapomniał o swoim pochodzeniu, ale przypomnieli mu o tym smarkacze endeccy, małpujący „Hitlerjugend”. Gdy na uniwersytecie lwowskim zaczęły się awantury o „numeros clausus”, gdy poturbowano tam siostrę Henia, studentkę, Henio chodził jak struty. Po jakimś czasie przyszedł jednak do siebie, godząc się z faktem, że idiotów i drabów nie brak w żadnym społeczeństwie.

Po wybuchu wojny, gdy znaleźliśmy się w Rumunii, Henio po raz drugi załamał się nerwowo.

Tym razem było z nim gorzej. Prawie wszyscy się wówczas załamywali. Mężczyźni zaczęli pić na umór, a kobiety puszczać się, niejeden w łeb sobie strzelił. A Henio zawędrował do żydowskiego sanatorium dla nerwowo chorych i o Polakach zaczął mówić „wy”, a o Żydach „my”. Odseparował się od nas zupełnie.

Po jakimś czasie, gdy ludzie zaczęli się dźwigać z załamania i szukać miejsca w nowej rzeczywistości, Henio zdał sobie sprawę, że był i jest Tońkiem i że właśnie ten Tońko pomóc mu może do znalezienia wyjścia z gmatwaniny problemów, w której się znalazł.

Równocześnie w „Fali” uświadomiono sobie, że odejście Henia byłoby nie tylko stratą kolegi i przyjaciela, ale i pogrzebaniem dialogów Szczepka i Tońka, które zawsze były gwoździem programu.

W rezultacie Henio powrócił „na ojczyznę łono” i wraz z nami powędrował w świat.

W czasie naszej wędrówki on i ja spędziłyśmy niejedną godzinę na próbach znalezienia jakiegoś gruntu pod nogami w chaosie, jaki powstał po najeździe barbarzyńców. Przez dłuższy czas upewniał mnie Henio, że ratunek dla świata przyjdzie od naukowców, że uczeni wszystkich krajów zjednoczą się w imię wielkich ideałów postępu i położą kres powodzi chamstwa i ciemnoty zalewającej cały świat. Niestety ten jego mit rozwił się bez śladu, gdy uczeni niemieccy wydali manifest solidarności z polityką Hitlera, a z Polski nadeszły wieści o naszych



Spotkanie „Lwowskiej Fali” z gen. Maczkim, Breda 1944. Od lewej stoją: W. Rapacki, S. Wasiuczyński, H. Hausman, Mira Grelichowska, gen. Maczek, L. Bojczuk, Włada Majewska, ppłk. Stankiewicz, W. Galiński, W. Budziński. Na pierwszym planie: K. Wajda – Szczepcio i H. Vogelfänger – Torcio.

naukowcach rozstrzeliwanych masowo lub męczonych w obozach koncentracyjnych za milczącym przyzwoleniem ich niemieckich kolegów.

Drugim z kolei mitem Henia była międzynarodowa solidarność żydostwa. Wierzył on, że żydowscy potentaci z londyńskiej City i nowojorskiej Wall Street staną zdecydowanie w obronie swych braci palonych i rozstrzeliwanych w obozach śmierci. Mogą – twierdził – wywrzeć nacisk na swoje rządy, by zagroziły Niemcom represjami wobec ich jeńców czy internowanych cywilów i bombardowaniem miast niemieckich na olbrzymią skalę. Skłonny byłem dać wiarę Heniowi, błąkały mi się bowiem po głowie reminiscencje przedwojennych artykułów o „Protokołach Mędrców Syjonu” i o potęgze Żydów, którzy dążą do opanowania całego

świata. Mijał jednak miesiąc za miesiącem i ani londyńscy, ani nowojorscy potentaci żydowscy nie ruszali na obronę swych niešťczęśliwych współplemieńców.

W końcu i ten mit Heniowy rozwiął się w mgłę. Solidarność światowego żydostwa okazała się fikcją.

Starłem przekonać Henia i siebie, że ocalenie cywilizowanego świata przyniesie nam chrześcijaństwo. W Heniu znalazłem wdzięcznego słuchacza. Przyznał, że przykazanie miłości bliźniego jest najpiękniejszą i najmądrszą maksymą, jaką wypowiedziano od stworzenia świata.

Oświadczył, że dumny jest, iż Tego, który oparł swą naukę na tym przykazaniu, wydał naród żydowski.

W rozmowach naszych marzyliśmy o zjednoczeniu Kościołów pod egidą pa-

pieża i o wielkiej krucjacie chrześcijańskiego świata przeciw pogaństwu.

A tymczasem niemieccy chrześcijanie, utwierdzeni przez swych kapelanów w wierze, że „co cesarskie, oddać należy cesarzowi”, oddawali cześć cesarską Hitlerowi, w jego imieniu zabijali, palili, zagazowywali miliony niewinnych ludzi, wśród których olbrzymią większość stanowili wyznawcy Chrystusa. Polscy biskupi na rozkaz niemieckich chrześcijan zamiatali ulice, księża szli do „kacetów” na powolne konanie i nie znalazła się żadna siła na świecie, która skutecznie stanęłaby w ich obronie.

Marzenia o krucjacie pozostały marzeniami.

Bardzo był Henio wrażliwy na sprawy związane z zagadnieniami rasowymi. Hitler w myśl swej teorii o wyższości rasy nordyckiej tępił bezlitośnie wszystkich, którzy mieli inne nosy, inne włosy lub inny kolor skóry niż on, a my na Zachodzie widzieliśmy, jak zgodnie żyć mogą obok siebie wszystkie rasy.

W kawiarniach bulwarowych na St. Michel siedzieli nieraz przy stolikach w towarzystwie studentek francuskich ich czarni koledzy. – *Popatrz* – mówił Henio – *czy między czarnymi i białymi są jakieś różnice? Przecież ci murzyni są lepiej ubrani niż my, po francusku mówią lepiej niż my, mają nienaganne formy towarzyskie, a ich białe koleżanki są najwidoczniej z ich towarzystwa bardzo zadowolone.* W Ogrodzie Luksemburskim widzieliśmy bawiące się razem z paryskimi dziećmi dzieci o twarzyczkach koloru złocistego miodu lub hebanu.

W Edynburgu, gdzie Henio ukończył uniwersytecki kurs brytyjskiego prawa administracyjnego, zbierali się w Mc Evan Hall na uroczystości wręczania dyplomów studenci różnych ras. Przywdziewali takie same togi i wkładali na głowy takie same birety. Dziekan wręczał takie same dyplomy studentom o twarzach białych, czarnych i śniadych. Jedyną różnicę między studentami stanowiły kolory kapturów tog, zależnie od wydziału studiów. Zdawało się, że tylko Hitler stoi na przeszkodzie zbrataniu wszystkich ras.

Skończyła się wojna. Ja wróciłem do rodziny w kraju, Henio powędrował do Południowej Afryki.

Kontakt między nami się przerwał. Droga pośrednią nadchodzący wiadomości, że

Henio świetnie się czuje w tym kraju, tak bardzo odległym od naszego europejskiego kontynentu, gdzie wciąż o coś wybuchała rewolucja i wojny, to o sprawiedliwość społeczną, to o „Lebensraum”, to o prymat rasy nordyckiej. Objął stanowisko dyrektora wielkiego przedsiębiorstwa handlowego, zajął się wychowaniem syna, w święta chadzał modlić się do swej świątyni, grywał od czasu do czasu w teatrze amatorskim. Zdawało się, że jest tam bezpieczny jak nigdzie na świecie.

Z wiosną 1961 roku nadeszły z Południowej Afryki wieści o masakrze murzynów, o aresztowaniu prawie setki białych i kilkunastu setek czarnych i kolorowych za sprzeciwianie się rasowej polityce rządu.

Na Wielkanoc dostałem list od kolegi z Londynu z wiadomością, że Henio wraz z rodziną wraca do Europy.

WŁADA

Gdy wspominam o Władzie Majewskiej, wspomnienie o niej kojarzy mi się najczęściej z pewnym czerwcowym dniem 1940 roku, kiedy to niespodzianie znaleźliśmy się w Pointe de Grave – francuska ziemia kończyła się nam tu pod stopami. Za nami od nasady półwyspu, zbliżali się Niemcy, a z obu stron otaczało nas morze, na którym wciąż nie widać było statków, mających ewakuować nas do Anglii. Z tyłu Niemcy, po bokach i przed nami morze, a nad nami niemieckie samoloty. Przelatywały raz po raz, zrzuciły bomby, a czasem zniżały lot i seriami z karabinów maszynowych siekły lasek, w którym próbowaliśmy znaleźć schronienie wraz z kilkuset polskimi żołnierzami.

Bali się wszyscy, Włada także, ale w najgorszej chwili, gdy zdawało się, że ze straszego lasku nikt żywy nie wyjdzie, znalazła się przy koledze Wiktorze, którego nerwy były już w takim stanie, że lada moment mógł się załamać. Choć może sama nie bardzo w to wierzyła, pocieszała go jak matka dziecko, że bombardowanie wkrótce ustanie, że statków brytyjskich tylko co nie widać, że popłyniemy spokojnie do Anglii i wszystko dobrze się skończy.

Drugie wspomnienie o Władzie: Nie było jej wśród nas, gdy dawaliśmy pierwsze przedstawienie na szkockiej ziemi, Anglicy zatrzymali ją pod Londynem na kwarantannie. „Fala” śpiewała i grała, by włączyć w ser-



ca żołnierskie otuchę, ale w samej „Fali” otuchy było coraz mniej, wszystkich ogarniać zaczynało przygnębienie. I oto wraca Włada... i we wszystkich jakby nowy duch wstąpił. Falowcy, którzy już zaczynali zapominać o codziennym gołeniu się, wracają do formy, zmienia się ich wygląd, zjawia się humor, rodzą się aktualne teksty, montuje nowy program.

Włada zostawiła we Lwowie starą matkę. Bardzo się obie kochały. W pamiętnym wrześnie los rozłączył je po raz pierwszy w życiu, Włada bardzo za matką tęskniła. Gdy w Rumunii recytowała na scenie wiersz o rozłące, o blankiecie Czerwonego Krzyża, na którym przekazać można do rodziny jedynie 25 słów, nie tylko słuchacze mieli łzy w oczach, ale i ona. Chociaż mówiła, ów wiersz wiele razy, zawsze była głęboko wzruszona.

Blankiety Czerwonego Krzyża szły jakąż ogromnie długą drogą, w każdym razie nie dostawaliśmy na nie odpowiedzi. Za to późną jesienią pojawiła się możliwość wysyłania zwykłych depesz, a potem kartek – i zaczęły napływać pierwsze wiadomości od bliskich. Włada uspokojona już co do swojej matki, troskliwie wypytывała kolegów, czy i oni

uspokoił się, a tych którzy jeszcze żadnych wiadomości nie dostali, pocieszała wynajdując dziesiątki powodów, które mogły tę zwłokę tłumaczyć.

W Szkocji korespondencja z rodzinami musiała się niestety przerwać. Znaleźliśmy jednak drogę, którą wysłać można było wprawdzie nie listy, ale małe paczuszki. Określną drogą przekazywaliśmy część swego żołądka do jednego z krajów neutralnych, a stamtąd wysyłano do naszych rodzin w firmowych paczkach bez wartości sardynki, migdały, kakao i inne rzeczy, które w kraju szły wówczas na wagę złota. Jak się po powrocie do domu dowiedzieliśmy, paczuszki te były dla naszych bliskich dużą pomocą. Nie trzeba pytać, kto w naszym gronie pilnował opieszających, by nie zapominali o wysyłce pieniędzy – była to oczywiście też Włada.

Perth, grudzień 1940 roku. Zanotowałem w swym dzienniczku podróży: *Wigilię wraz z „Falą” spędziłem u Włady. Zebraliśmy się wszyscy z wyjątkiem Szczepka i Tońka, którzy są w szpitalu.*

Przyszli Janusz Meissner, Włodzio Kuliszewicz, Rochowicz i Zbyszek. W jadalni Włada przełamała się z nami oplatkiem. Obyśmy następną wilię święcili już w domu – życzyliśmy sobie nawzajem.

Menu wili: ryba z konserw, barszcz z uszkami, fasola, wino, ciastka. Po kolacji kolędy przy drzewku.

Każdy dostał podarek.

Co roku, aż do końca wojny zbieraliśmy się na wilię u Włady. Z Władzinego matriarchatu wszyscy byli zadowoleni. Dzięki niemu każdy czuł się na obczyźnie mniej obco, każdemu zdawało się, że we Władzie ma część swojej rodziny. Było przed kim się wyżalić i było komu się zwierzyć. A jeśli Włada – gdy zaszła potrzeba – wybesztowała kogo, to besztowała od serca, po lwowsku i każdy przyjmował od niej reprimendę jak od rodzonej siostry czy żony...

Gdy przeglądam fotografie ze szkockich lat „Fali”, widzę w ilu to rolach występowała Włada. W każdym z kilkunastu kolejnych programów śpiewała, recytowała, grała w skeczach, a bywało, że i tańczyła. Wszystko to wykonywała świetnie i za wszystko zbierała gorące oklaski. Ale przed każdym występem miała tremę. Czekając za kulisami wezwania na scenę, skarżyła się gorączkowym szepczeniem, że źle się czuje, że nie może myśleć

zebrać do kupy, że na pewno się sypnie. To mruczała pod nosem rolę, to odchodziła w kąt, gdzie szeptała coś, jakby modlitwę... Nieraz bywałem w strachu o nią, bo przy tym wszystkim i minę miała nieszczególną, i blado wyglądała. Nagle rozlegał się głos inspicjenta Stasia: *Władzu na scenę!* Włada wchodziła lub wbiegała na scenę... i z miejsca zaczynała wspaniale grać, jak gdyby przed chwilą nic się z nią działo.

Znawcy teatru twierdzą, że jedną z cech prawdziwego artysty jest trema przed występem. Włada miała tę cechę aż do końca istnienia „Fali”.

Widzę wśród fotografii jedną odmienną od innych, Włada w todze, w akademickim birecie i z rulonem dyplomu w ręce, a przy niej dwaj profesorowie edynburskiego uniwersytetu. To już nie teatralne zdjęcie, to Włada, magister praw lwowskiego uniwersytetu, dzierży w ręku otrzymany przed chwilą dyplom z administracyjnego prawa brytyjskiego, a profesorowie serdecznie jej gratulują.

Gdy tak przeglądam fotografie, natrafiam między innymi na stary list z londyńskim stemplem na znaczku, pisany do mnie przez Władę. Adresowany do Edynburga. Oto jego treść: *Kochany Tadziu.*

Będzie nam bardzo miło, jeśli zechcesz być na naszej uroczystości weselnej, która odbędzie się w piątek 6 grudnia 1946 roku o godz. 5-tej po południu w Edynburgu, w sali prywatnej (II p) Gibson Ltd. Barmoral K., 93 Princess Street. Całujemy serdecznie. Włada i Tolek.

Przypomniało mi się żywo to wesele. U Gibsona za wielkim stołem prócz pary nowożeńców zasiadł wypróbowany przyjaciel „Fali”, dowódca I korpusu gen. Maczek, jego żona, kilku profesorów i dygnitarzy edynburskich, no i my, towarzysze kilkuletniej wędrówki Włady i jej małżonka. Weselo było

Wszyscy z całego serca cieszyliśmy się szczęściem Włady. Cieszyliśmy się tym bardziej, że w owym okresie było to jedyne zdarzenie dające powód do radości.

Nasza armia po wielu świetnych zwycięstwach na kontynencie szła wówczas do brytyjskich „obozów przysposobienia”, a „Fala” przestawała istnieć.

Weselo było u Gibsona na weselu. Nikt z zebranych nie przeczuwał, że i Władzine małżeństwo przestanie wkrótce istnieć.

WIESZCZEK

Jeden z czołowej piątki „Fali”, Wieszczyk, martwił się tylko pół na pół, gdy Szczepko i Tońko nie byli w zespole. Martwił się jako kolega, że biedacy znów w szpitalu, ale wcale nie martwił się jako aktor, bo dzięki temu zyskiwał szerokie pole do popisu. Nikt mu wówczas nie przeszkadzał, mógł w braku konkurencji popuścić cugli swemu aktorskiemu temperamentowi.

Wieszczyk znano we Lwowie jako świetnego imitatora głosów i jako Babciocha. Za granicą zdobył sobie popularność dzięki swym góralskim gadkom o Panu Jezusicku, o Matce Boskiej Ludźmierskiej, o notariuszu, który kiwał bródką jak cap oraz dzięki zupełnie nowej, wspaniałej kreacji starszego strzelca Makutry. Ponadto grał z powodzeniem wszystko, co było potrzebne w danym programie, bywał ułanem z czasów księcia Poniatowskiego, tańczył i śpiewał w „Weselu ludowym”, ronił łzy nad Francją jako nieszczęśliwy marszałek Petain, jednym słowem: był uniwersalny i niezastąpiony.

Z całego swego repertuaru najwięcej cenił sobie Makutrę. Ten niezdara, z pozoru nierozgarnięty, a w gruncie rzeczy sprytny i obrotny, najbardziej przypadł mu do serca.

W okresach gdy nie grywali Szczepko i Tońko, Wieszczyk miewał niemalże monopol na komizm w programie, korzystał też w pełni z tej sytuacji i czuł się jak król. Grał świetnie, a że miał dar do szybkiego nawiązywania kontaktu z widownią, nigdy nie skąpiono oklasków, a śmiano się tak, że drżały



Józef Wieszczyk

plachty widowiskowego namiotu. Jego gra znajdowała aplauz zarówno wśród wyrobionych teatralnie widzów, jak i wśród „galerii”. Każdej z tych kategorii podobało się w niej co innego. „Galeria” zaśmiewała się do łez, gdy Wieszczyk porwany temperamentem zaczynał czasem szarżować i przesadzać w efektach. Z jednym takim widzom z galerii miał on osobliwą przygodę. Kucharz z Brygady Podhalańskiej, zachwycony Wieszczykiem po występie w *douglasowskim* parku, zaproponował mu by występowali w „Fali” razem, jako para komików. Zaczęły się próby, ale... Wieszczyk zrejterował już po pierwszej. Kucharz, który – jak się okazało – był w cywilu cyrkowcem, zaczął z nim gorliwie ćwiczyć swój numer kłownowski, w którym cały komizm polegał na biciu się po twarzy i to biciu bynajmniej nie markowanym. Od czasu tej przygody Wieszczyk miał się na baczności przed niektórymi wielbicielami swego talentu.

W ciągu naszych podróży Wieszczyk odznaczał się gospodarnością, umiał zawsze z niczego zrobić coś, był majstrem do wszystkiego. Gdy z początkiem czerwca 1940 roku znaleźliśmy się nad Loarą, dostaliśmy kwatery w miłej, choć zaniedbanej willi nad rzeką. Wieszczykowi nie dawało to spokoju, że gazon jest zarośnięty wybujałą trawą, że w ogóle wszędzie wkraść się nieporządek, zabrał się więc do pracy. Oto parę zdań z zapisków owego czasu: *Na froncie działa się coraz gorzej. Z werandy willi widzieliśmy auta uchodźców ciągnące nieprzerwanym sznurem. Koło mostów na Loarze saperzy zaczęli prace minerskie, jasne było, że wkrótce mosty wylecą w powietrze i Loara stanie się nową linią oporu. W pobliżu wylądował podobno desant niemiecki. Przeczuliśmy, że lada godzina znajdziemy się w nowym kołowymrocie wydarzeń. Zbierając siły do sprostowania czekającym nas znów przygodom, staraliśmy się jak najlepiej odpocząć. Nie odpoczywał tylko Józek Wieszczyk. Zabrał się do koszenia trawy przed willą i kosił, aż mu pot spływał z czoła.*

A oto notatka z pierwszych dni obozowania w Szkoci: *Najbardziej dokuczał chłód i deszcz, ale na drugi dzień miałem już własny namiot. Zrobił mi go Józek z dwóch gumowych peleryn, zawieszonych na drągu opartym o pień. Wyglądało to jak cygańskie*

szatro, włożyło się tam na czworakach, w namiocie było jednak sucho i wiatr tu nie zawiewał... Z wyżywieniem krucho było przez parę dni. Grupa, do której nas przydzielono, nie miała jeszcze kuchni, więc wydawano nam prowiant w stanie suchym. Pełen żywotności Józek rozpałał ognisko i w „kochmaszynkach” gotował zupki z konserw, rosół, herbatę.

Po okresach takiej żywotności przychodziły na Wieszczyka, zdawało się ni z tego, ni z owego, dni chandry. Trudno było uwierzyć, że ten zasępiońy dziś i zgryźliwy Józek nie dawniej jak wczoraj tryskał energią i wesołością. Odzywały się w nim jakieś urazy z dawnych czasów i stawały się pożywką dla wyolbrzymiania przykrości, jakich nikomu z nas życie nie szczędziło. Wydawało mu się, że jest w zespole niedoceniany, że Szczepko i Tońko go lekceważą i nie traktują na równi z sobą, że nikt nie bierze go na serio. Na szczęście takie okresy depresji nie trwały długo. Wystarczyło, by ktoś go szczerze pochwalił za jego najnowszy występ czy choćby za wspaniałe czako ułańskie, jakie sam sobie sporządził do swojej roli, a chandra go opuszczała. Powracał do normy, przynajmniej na jakiś czas, póki znów coś nie ukłuło go w serce.

W poglądach na świat i życie autorytetem dla niego był wujek, proboszcz spod Nowego Sącza – u którego jako chłopak się wychowywał. Opowiadał nam dużo o tym wujku, który pędził życie na tępieniu wsioch grzechów i wpajaniu w chłopów mądrości Bożej, ale w ciągu kilkudziesięciu lat codziennego obcowania z nim nasiąknął całą prastarą mądrością chłopską i chłopską rubasznością.

Wieszczyk na wiele spraw patrzył jego oczami. Kto wie, czy – gdyby przypadek nie zetknął go z „Falą” – nie poszedłby w ślady wujka? Może pędząc na wsi żywot człowieka poczciwego, byłby bardziej zadowolony z siebie?

Gdy skończyła się wojna, Wieszczyk postanowił osiąść w Ameryce, gdzie miał krewniaków. Urodził się tam i chociaż już jako małe dziecko przyjechał do Polski, pozostało w nim coś amerykańskiego, mianowicie amerykański akcent jego angielszczyzny. Był z niego bardzo dumny. Ogromnie się martwił, że ani Szkoci, ani Anglicy nie zachwycają się jego angielszczyzną.

Tuż po wojnie dość trudno było dostać się do Stanów Zjednoczonych nawet Anglikom, a coś dopiero Polakom, toteż Józek poszedł do amerykańskiego konsula, by dowiedzieć się, za ile miesięcy czy może lat możliwy byłby wyjazd do Ameryki. Spotkał się tam z najmniej oczekiwaną odpowiedzią.

Konsul przejrawszy jego metrykę urodzenia i inne dokumenty, krzyknął ze złością, że pojedzie bezzwłocznie, natychmiast, ale do amerykańskiego kryminału. Jako amerykański obywatel nie dopełnił obowiązku służby w wojsku USA i to w okresie wojny, czeka go więc surowa kara. Na takie dictum nie wiedział Józek, czy śmiać się, czy płakać... płakać, bo uważają go za dezertera czy tchórza, a śmiać się, bo – jak widać – jego amerykańskie obywatelstwo nie ulega wątpliwości. Wybrał to drugie i po dłuższej rozmowie przekonał konsula, że kilkuletnia ochotnicza służba w wojsku sprzymierzonym z armią USA kwalifikuje go chyba nie do kryminału, wobec czego konsul wysłał go do Ameryki wraz z powracającymi do domu żołnierzami amerykańskimi.

Żegnając się z Wieszcziem, byliśmy pewni, że jego talent znajdzie tam wprost wymarzone warunki rozwoju. Znając mniej więcej upodobania amerykańskiej widowni, byliśmy pewni, że Wieszczeek ze swoimi ludowymi gadkami, ze swoją Makutrą i Babciochem znajdzie wśród Polonii gorące przyjęcie.

Niestety nie byliśmy dobrymi prorokami. Mijał miesiąc za miesiącem, a gazety polonijne nie wspominały o Wieszczkowych sukcesach. Wreszcie ku swemu zdumieniu dowiedzieliśmy się, że Wieszczeek zamiast na scenę czy estradę poszedł do handlu. Jak wynika z jego listów do rodziny, pracuje on w handlu do dnia dzisiejszego, ma jednak coraz poważniejsze wątpliwości, czy zostanie kiedyś Rockefellerem.

FALOWCY „ZAGRANICZNI”

Przez szeregi „Fali” przesunęło się za granicą kilkanaście osób, ale tylko pięć wytrwało od początku do końca: warszawianie Mira Grelichowska i Wincenty Rapacki, łódzianin Henio Hausman, oraz lwowianie Ludwik Bojczuk i Stasio Wasiuczynski.

Mira Grelichowska, warszawska pieśniarka, występowała przed wojną w Polsce i w Stanach Zjednoczonych. Ze swego

tournee po Ameryce przywiozła prócz miłych wspomnień plik recenzji z prasy polonijnej, które Kazio Wajda, jej narzeczony, a później mąż, naklejał dla niej artystycznie w wielkim albumie.

W Rumunii pod auspicjami YMCA obsługiwała równolegle z „Falą” polskie obozy internowanych. Jej samodzielna grupa składała się tylko z trzech osób: z niej samej, akompaniatora oraz kierowcy samochodu. Mimo to Mira potrafiła z powodzeniem wypełnić cały wieczór. Pamiętam jeden z jej występów w Bukareszcie. Sala rumuńskiej instytucji społecznej wypełniona widzami... w piżamach.

To nasi lotnicy wykradzeni z obozów, odziani jedynie w białiznę, aby ich nie kusilo wybrać się na miasto, gdzie tylko czekali na to niemieccy agenci i opłacani przez nich rumuńscy szpicle. Na małej estradzie fortepian, przy nim dyplomata, pełniący czasowo funkcję akompaniatora, a na środku Mira, odziana w łowickie pasiaki, śpiewa „Gęsi za wodą”. Niby nic niezwykłego, a jednak gdy spojrziałem na twarze widzów, zauważyłem, że co drugi miał łzy w oczach, a co trzeci manipulował chusteczką koło twarzy.

We Francji weszła Mira do „Fali”. Weszła tam z talentem piosenkarki, z walizką ludowych kostiumów i z dużą popularnością. Sytuacja jej nie była łatwa. Wiadomo, co dzieje się w ulu, gdy równocześnie rządzić tam chcą dwie królowe. W „Fali” królowała dotychczas Włada, jedyna w zespole kobieta, jedyna śpiewaczka, jedyna aktorka. Z przybyciem Miry, która w czasie swej samodzielnej kariery też przyzwyczaiła się do holdów, miało ich być dwie. Zanosilo się wprawdzie nie na to, co w ulu, ale w każdym razie na burzę i to nie jedną. W istocie nieraz pojawiały się groźne, ołowiane chmury, rozlegały się odległe grzmoty, ale burze przeciągały na ogół bokiem, rosząc nas tylko deszczem, i nie powodowały w „Fali” klęsk żywiołowych. Mira wytrwała prawie do samego końca.

Repertuar jej wzbogacać się zaczął w „Fali” o nowe pozycje. Do piosenek ludowych i nastrojowych doszły role w skeczach i tańce w utworach na tematy ludowe. Trudno powiedzieć, by z tego wzbogacania bardzo się Mira cieszyła, ale w myśl zasady „skoro wlałeś między wrony, musisz krakać jak i one”, grała wszystko, czego wymagał

Mira Grelichowska



dany program. Jeżeli czasem grała nie tak, jak grać się powinno zdaniem szefa zespołu, czy też Włady lub kogoś innego, i jeżeli z tego powodu wywiązywała się różnica zdań, po jej stronie stawał z reguły Kazio i skoro zaszła potrzeba, walczył jak lew, aż do zwycięskiego końca.

Z pozoru trzpiotka, szczebiotka, marząca o niebieskich migdałach, była w istocie rzeczy osobą praktyczną, trzeźwo patrzącą na świat. Zdawać by się mogło, że jak gdyby chłodno odnosiła się do swej córeczki z pierwszego małżeństwa, Ewy, która stając się co roku starsza, postarzała tym samym swoją młodą mamę. Widziałem jednak, jak Mira szalała we Francji, gdy klasztorowi, w którym uczyła się Ewa, zagroziło zajęcie przez wojska niemieckie. Narażając się na duże niebezpieczeństwo, wyrwała ją stamtąd prawie w ostatniej chwili.

W okresie samodzielnych występów mieszała Mira różne przygody, auto jej grzęzło na parę godzin w zaspach śniegowych, gubił się jej po drodze akompaniator, ale w „Fali” przygód nie brakowało... Oto jedna z wielu – według notatki z dziennika podróży:

W pięć miesięcy po przybyciu do Wielkiej Brytanii wyruszyła „Fala” do lotników polskich i angielskich w Blackpool. Wieczorem, w godzinę po przybyciu, przedstawienie dla Anglików w kinie na 2000 miejsc. – Sala szczelnie wypełniona, sukces duży. Rano o godzinie 10. drugie przedstawienie w innym jeszcze większym kinie – dla Polaków. Kino wielkie i piękne, ale bez garderoby.

Nasze panie niewypoczęte należycie po wczorajszym występie, wyglądają smętnie. Trzeba się ucharakteryzować, nałożyć kostiumy, lecz nie ma gdzie. Mira przykucnęła w kącie korytarza i prosi, bym ją zasłonił połami swego płaszcza. Rozpościeram poły, jak tylko mogę, a za nimi, trzęsąca się z chłodu Mira robi się na bóstwo i wdziawa ludowe kiecki, skarżąc się słabym głosem, że jej niedobrze. Ma w tym programie drugi z kolei numer, jeszcze nie jest gotowa, a już ją wzywają na scenę. Zaczyna śpiewać, nagle urywa, słychać głuchy łoskot, zemdląca, upadła na deski. Na widowni znalazł się na szczęście lekarz, znalazły się i lekarstwa, Mira wróciła do przytomności. Chcieliśmy ją odwieźć do hotelu, sprzeciwiła się, numer swój wykonała pod koniec programu.

Największą jej przygodą w „Fali” było jednak poślubienie Wajdy. Kazio Wajda za swoich lwowskich czasów mawiał, że nie ożeni się, bo nie wie czy, która kobieta by z nim wytrzymała. Gdy mimo wszystko się ożenił, Mira ze wszystkich sił starała się wytrzymać z Kaziem, a Kazio z Mirą, ale wyniki były nieszczególnie. Sprawę pogarszał jeszcze psujący się z roku na rok z powodu choroby stan nerwów Kazia, a co za tym idzie – także i nerwów Miry. W każdym jednak razie wytrzymali z sobą do końca. Wrócili do Polski razem, razem zamieszkali i często razem występowali.

Wajda zaczął nawet znów pisywać dialogi. On grał w nich rolę jakby Szczepka, a Mirze przypadła rola jakby Tońka w spódnicy. Nowe dialogi zaczynały mieć powodzenie i kto wie, może z czasem zdobyłyby sobie popularność tych lwowskich ze Szczepkiem i Tońkiem. Śmierć Wajdy przekreśliła jednak te plany. Mira pozostała sama i znów, jak przed laty, występuje sama.

Drugim warszawiakiem w „Fali” był Wincenty Rapacki, członek znanej rodziny artystów. Jako jedyny oficer w zespole, mianowany został jego wojskowym kierownikiem. W pracy artystycznej pełnił funkcję akompaniatora. Miał wyższe studia muzyczne, z których wyniósł zainteresowanie do muzyki poważnej. Jeżeli chodziło o muzykę lekką, a taka właśnie brzmiała z estrady „Fali”, śpiewacy i śpiewaczki woleli korzystać z akompaniamentu małego Henia.

Henryk Hausman, zwany małym Heniem, w odróżnieniu od drugiego Henia

w zespole, mianowicie od Vogelfängera, wyglądał na pierwszy rzut oka bardzo niepokaznie. Skoro jednak ujął w swe dłonie akordeon i zaczął grać, zmieniał się nie do poznania. Umiał wydobyć z tego instrumentu chyba absolutnie wszystko, co tylko możliwe. Akordeon w jego rękach stawał się jakimś czarodziejskim narzędziem. Grał też na fortepianie, bardzo dobrze, ale niechętnie. Pochodził z Łodzi, gdzie miał własną, pierwszorzędną orkiestrę taneczną. „Fala” wydobyła go po wielkich staraniach z Brygady Podhalańskiej.

Cudownie grał mały Henio, ale też i cudownie pił. Trudno było uwierzyć, ile kieliszków zmieścić się mogło w tym mizernym, małym podchorążym. Gdy był pod gazem, stawał się buńczuczny jak kogut, ale mnie z jego strony nigdy nie spotkało nic przykrego. Przeciwnie, zawsze odnosił się do mnie z dużą sympatią. Raz w osobliwy sposób wyrwał mnie z opresji. Podczas kolacji, którymi w odwiedzanych przez nas oddziałach raczył nas korpus oficerski, dostawało mi się zazwyczaj, jako najbardziej szpakowatemu w zespole, miejsce koło jakiegoś starszego oficera. Zdarzyło się, że siedzący obok mnie major, który za kółkiem nie wylewał, za każdym kieliszkiem, który sam pił, zachęcał mnie do tego samego bardzo energicznie. Po trzech kieliszkach miałem dość, ale major stawał się coraz bardziej natrętny. Nie wiem, jakby się to skończyło, gdybym nie poczuł utkwionych we mnie oczu Henia. Dał mi do zrozumienia wzrokiem, abym napełniony przez majora kieliszek przesunął zgrabnie jemu, a on przesunie mi swój pusty. Udało się, major nie zauważył, udało się też raz, drugi i trzeci – i nie wiem już który. Major był zadowolony ze mnie, ja z Henia, a Henio z całego świata. Tyle tylko, że gdy trzeba było wracać, nie mógł biedaczysko pojąć dlaczego i wciąż w kółko pytał żałośnie „dlaczego”, gdyśmy go troskliwie wiedli do łóżka. Mimo to jeszcze nieraz ratował mnie z bankietowych opresji.

Gdy pojechaliśmy na występ do Glasgow, Henio i ja dostaliśmy w hotelu wspólny pokój. Nad ranem śniło mi się, że jestem w raju i słucham anielskiego grania na harfie. Sen był tak żywy, że chociaż otworzyłem już oczy, nadal słyszałem to cichutkie granie. Chciałem spytać Henia co to, ale jego nie było przy mnie. Po chwili stwierdziłem,

że dźwięki płyną nie z anielskich harf, ale z najbardziej odległego kąta pokoju, gdzie rusza się jakaś niekształtna masa. Granie ucichło nagle, a spod koca w kącie pokoju wyłonił się, wstając z podłogi, Henio z akordeonem. *Cóż ty tam robisz?* – wyjąkałem zdziwiony. – *Musiałem przegrać nowy kawałek do dzisiejszego występu, a nie chciałem cię budzić, bo coś nietęgo wyglądasz, więc grałem cicho pod kocem.* Takiej delikatności nie podejrzewałem w tym zawadiace z Łodzi. Nigdy mu tego nie zapomniałem.

Henio przybrał sobie z czasem do pomocy drugiego akordeonistę, Stasia Gorzkowskiego. Świetny ten duet stał się przedmiotem zazdrości zespołów polskich i angielskich. Próbowano ich skątpować lepszymi warunkami, ale Henio i jego towarzysz zrosili się z „Falą” i ani myśleli o jej opuszczeniu. Po zlikwidowaniu „Fali” obaj zostali w Edynburgu i grają tam podobno w teatrzykach do dnia dzisiejszego.

Ludwik Bojczuk, mąż postawny, z zawodu pedagog, serdeczny przyjaciel Budzyńskiego i Władzy z lwowskich czasów, odznaczał się wyśmienitą pamięcią, był kopalnią wiadomości z różnych dziedzin wiedzy, chętnie dzielił się swą wiedzą zarówno z młodzieżą, jak i swymi kolegami. Często był roztargniony, nieraz za kulisami zaczytawszy się w podniesionym z ziemi szpargale, zapominał o wejściu na scenę. Jego zamięłowanie do sztuki przejawiało się zarówno w zadowoleniu z każdej roli, jaką mu do grania powierzono, jak i w zwiedzaniu kin w naszym miejscu postoju. Cechował go również wyśmienity apetyt.

Najważniejszą jego działalnością w „Fali” było prowadzenie kroniki. Przez pewien czas godzina po godzinie, dzień po dniu notował, gdzie i co „Fala” grała, gdzie i co jadła, gdzie spała. Przyszły historyk „Fali” znajdzie w tej książce materiał do swej pracy. A może Ludwik sięgnie kiedyś po pióro, by korzystając z własnych źródeł napisać historię zespołu, który w dziejach naszego wojska za granicą posiada nie ostatnie miejsce. Może też, jako stary przyjaciel Wiktora Budzyńskiego, nakreśli sylwetkę tego twórcy „Fali”, której ja nakreślić nie mogłem.

Balneolog z zawodu, aktor z wykształcenia, był Stasio Wasiuczyński niezmiernie pożytecznym członkiem zespołu. Przedwojenne administrowanie kąpieliskami wyro-

biło w nim duży zmysł praktyczności, który ogromnie przydał się „Fali” w jej wędrówce, a dyplom szkoły dramatycznej pozwolił mu grywać z sukcesem różne role. Tak na przykład gdy Budzyński wskrzesił dialogi Aprikozenkranca i Untenbauma, Wasiuczyński podjął się roli Untenbauma i grał ją może nie gorzej niż pierwszy jej odtwórca Fleiszer. W skeczach kreował wiele postaci, z których najlepiej wychodziły mu lwowskie batiary, sierżanci zawodowi, weselni wodzireje, w ogóle typy zamaszyste i pełne wigoru.

Zamaszystość i wigor wykorzystał też w kierowaniu techniczną stroną „Fali”. Zdobywanie materiałów na kostiumy i rekwizyty, organizowanie podróży, przygotowanie sceny, inspicjentura, wszystko to było domeną Wasiuczyńskiego.

Po powrocie do kraju zajęł się – jak przed wojną – balneologią. Między innymi dźwignął z gruzów, odbudował i puścił w ruch wielki zakład kąpielowy we Wrocławiu, za co ojcowie miasta wdzięczni mu są do dzisiaj.

DOKUMENT PODRÓŻY

„Lwowska Fala” przetrwała za granicą siedem lat i mogłaby trwać dłużej, gdyby nie przestała istnieć armia polska w Wielkiej Brytanii.

W ciągu tych siedmiu lat powstawały na obczyźnie różne artystyczne zespoły, wojskowe i cywilne, lepsze i gorsze. W większości przypadków żywot ich kończył się w ciągu kilkunastu miesięcy.

Co było przyczyną, że „Fala” mimo wszelkich przeciwności pracować mogła aż do końca wojny?

Dobry program, dobre kierownictwo artystyczne? Oczywiście, to w pierwszym rzędzie. Ale niektóre zespoły też mogły się tym pochwalić, a jednak się rozlatywały.

Jednym z czynników trwałości „Fali” była jej spójność. Stara gwardia lwowska, Włada Majewska, Szczepko, Tońko, Wieszczyk i Budzyński, stanowiła jej mocny fundament, który nie pozwalał na zachwianie się budowli. Ważną rolę odgrywał „matriarchat”, sprawowany przez Władę. Stwarzał on między nią a resztą zespołu oraz między poszczególnymi członkami „Fali” więzy serdeczne, o wiele mocniejsze niż jakiegokolwiek inne. Pod wpływem stworzonej przez Władę atmosfery artyści z różnych miast Polski, którzy dołączyli się do starego trzonu „Fali”, nabierali



Wiktor Budzyński

w płuca lwowskiego powietrza i zaczęli się asymilować.

A wreszcie czynnik może irracjonalny, a jednak bardzo istotny: wpływ nieobecnego wśród nas, a jakby obecnego dyrektora naszej Rozgłośni, Petrego. Petry był radiowym ojcem „Fali”. Czuwał nad nią od jej niemowlęcych lat, jej powodzeniem cieszył się jak swoim własnym, jej potknięcia przeżywał głęboko. W obronie „Fali” walczył zażarcie, dopominał się dla niej w warszawskiej centrali o coraz to lepsze warunki pracy, a nawet przywileje. W tych sprawach pisywał do Warszawy energiczne listy, telefonował głosem niedopuszczającym sprzeciwu, a gdy to nie pomagało, prosił w domu o odprasowanie swego stareńkiego, wizytowego ubrania i wyruszał osobiście do Centrali, aby tam toczyć o „Falę” zacięty bój.

Prawie zawsze odnosił zwycięstwo, tylko jeden jedyny raz nie udało się mu obronić „Fali”. Było to wówczas, gdy z powodu słynnej gafy z „holenderską krową” Warszawa szukała kozła ofiarnego, który zapłacił głową za tę „krowę”. – Szukała niedługo, bo Petry sam się ofiarował na kozła, aby tylko odwrócić gniew radiowych bogów od „Fali”. Poszedł na wygnanie. Nie bardzo ono było wprawdzie srogie, bo jako miejsce zesta-

nia wybrano Wilno, ale takiemu lwowskiemu patriocie jak Petry nieswojo było nawet w Wilnie. Ciotka Albinowa nie mogła mu zastąpić ciotki Bandziuchowej, „Kukułka” – „Fali”, a Wilia – Pełtwi. Tęsknił i jak kania deszczu oczekiwał dnia, w którym znów ujrzy swój Lwów. Toteż gdy o nieszczęsnej krowie nieco zapomniano, Petry powrócił do Lwowa. Pod jego opieką znów dobrze działać się zaczęło w „Fali”.

Wszyscy w Rozgłośni Petrego lubili i uznawali jego autorytet. Nawet Kazio Wajda, ten wieczny reformator – poszukiwacz nowych dróg nie sprzeciwiał się, kiedy Petry uznał coś za słuszne. Co więcej – gdy koledzy kwestionowali celowość jakiegoś dyrektorskiego pociągnięcia, skakał im do oczu dowodząc zapalczywie, że dyrektor ma rację.

W jaki sposób zyskał sobie Petry taki autorytet i popularność, to była jego tajemnica, ale z czasem ten i ów ją przeniknął. Oto na przykład, gdy stosunki między Szczepkiem a Tońkiem zaczynały się psuć, jak to często bywało, udawał się Tońko na rozmowę z Petrym. Gdy wychodził z jego gabinetu minę miał zawsze zadowoloną. Wkrótce potem wizytę dyrektorowi składał Szczepko, ale i ten wiele zyskał na pewności siebie w pokoju dyrektorskim. Tak samo bywało z innymi, a po takich rozmowach w cztery oczy niesnaski i tarcia jeśli nie zniknęły, to przycichały na pewien czas.

Sedno sprawy leżało w tym, że każdy z tych szukających sprawiedliwości wychodził od Petrego przeświadczony, iż dyrektor wielce go ceni i że jego właśnie, a nie jego antagonistę uważa za ważniejszą osobę w Rozgłośni, wobec czego jest już rzeczą drugorzędną, czy ma rację, czy też doradził ustąpić lub iść na kompromis.

Czyżby to była dwulicowość? Nie. Petry stosował tę swoistą politykę w imieniu dobra Rozgłośni. Dla niego dobro to było najważniejszym prawem, jak dla Rzymian prawem takim było „salus rei publicae”. Wszyscy na tym dobrze wychodzili, a autorytet Petrego rósł coraz bardziej.

Wpływ jego nie zniknął, gdy „Fala” znalazła się za granicą, a on pozostał we Lwowie. Każdy z nas miał w kieszeni otrzymaną od niego przed wyjazdem kartkę papieru, która z początku wydawała się czymś zwykłym, lecz później stała się jakby talizmanem.

Z kartką tą nie rozstawaliśmy się przez długie lata, a ja mam ją do dzisiaj. Oto jej treść:

Seria X, Nr 20. Rozgłosnia Lwowska. Polecenie odbycia podróży służbowej dla p. z Wydziału w czasie od 11 września 1939 roku do dnia (niewypełnione) do miejscowości (niewypełnione) celem ewakuacji, przybycia do miejsca postoju Polskiego Radia. Pieczętka: Polskie Radio, Spółka Akcyjna, Rozgłosnia we Lwowie, podpis dyrektora: J. Petry.

Wędrówka „Fali” zaczęła się więc jako zainicjowana przez Petrego podróż służbowa. Kierownik naszej grupy wypłacał nawet diety przez kilka dni. Gdy potem sprawy potoczyły się w sposób nieprzewidziany nie tylko przez Petrego, gdy ruszyliśmy na wędrówkę w daleki nieznany świat, wydany przez niego dokument stał się łącznikiem z tym naszym znanym światem, z którego los wyrwał nas niespodziewanie. Mówiliśmy sobie: dzieją się wokół nas tak nieprawdopodobne, wprost fantastyczne rzeczy, że nasza wędrówka skończyć się może tak, jak się zaczęła, jako podróż służbowa. A jeśli tak, to jak z każdej podróży, tak i z tej trzeba będzie złożyć sprawozdanie. A wówczas co powie Petry, co powiedzą ludzie we Lwowie o takich czy innych pociągnięciach?

Ile razy trzeba było powziąć trudną decyzję, zastanawialiśmy się, co w danym wypadku zrobiłby Petry. Gdyśmy czasem za długo się głowili i nastrój stawał się poważniejszy, Włada, która świetnie umiała parodiować Petrego, marszczyła brwi, skrobała się trzema palcami w brodę, wydymała dolną wargę i oświadczała Petrowskim stylem: *Nie ulega wątpliwości, że wśród tych zawiłych zagadnień dzisiejszej chwili musimy znaleźć wyraźną postawę etyczną wobec życia i społeczeństwa.*

I Petry, chociaż nieobecny, pomagał nam taką postawę odnajdywać.

KONIEC DIALOGÓW SZCZEPKA I TOŃKA

Gdy skończyła się wojna, Henryk Vogelfänger wyemigrował do Południowej Afryki, a Kazimierz Wajda wrócił do Polski. Przedtem zdarzały się czasem momenty, gdy mimo chorób i częstych tarć – skoro stan ich zdrowia był znośny – następowało między nimi jakby zawieszenie broni. Odżywała wówczas nadzieja, że mimo wszystko staną jeszcze razem przed lwowskim mi-

krofonem – brała ich ochota do wznowienia współpracy.

W jednym z takich nieczęstych momentów, na początku 1944 roku, napisali i wykonali dialog *Szczepko i Tońko przy telefonie*. Już sam ich wygląd wywoływał na sali dużo wesołości. Obaj w brytyjskich battle-dressach, tylko, że mundur na wysokiego Szczepka był za mały, tak że nogawki nie sięgały kostek, a z rękawów wystawały gołe nadgarstki, Tońko zaś po prostu pływał w bardzo obszernym mundurze. Charakterystyczna lwowska, gwara lwowska, tylko tło brytyjskie.

Na scenie dwa stoliki z telefonami: na jednym napis Londyn, na drugim Edynburg. Przy pierwszym siedzi Szczepko, przy drugim Tońko. Tońko zapytuje Szczepka, który pracuje w kancelarii naczelnego dowództwa, jak się przedstawia sprawa jego odkomenderowania na kurs. Wywiązuje się pełna humoru rozmowa w dawnym lwowskim stylu, obaj – mimo że w brytyjskich mundurach – rozmawiają jak za czasów Karolci i Pi-trasińskiej, a widownia co chwila wybucha śmiechem. Dialog cieszył się dużym sukcesem. Niestety był to jakby łabędzi śpiew Szczepka i Tońka. Więcej takich rzeczy już nie stworzyli.

Wajda po powrocie do kraju próbował znowu stworzyć coś w tym rodzaju. We wrocławskiej Hali Ludowej słyszałem jego dialog z Mirą Grelichowską. Mówili nie lwowskim, lecz literackim językiem, ale Wajda, jak ongiś jego Szczepko, był także „tym mądrzejszym” i pouczał swą partnerkę, tak jak dawniej Tońka. Tematem była stara żydowska anegdota o przemytnikach: Celnicy zatrzymują dwóch przemytników z workami. Pytają co w workach. – *Siemię dla kanarków* – pada odpowiedź. Celnik zanurza rękę w worku, okazuje się, że tam – ziarna kawy. Pyta z wyrzutem – *Panie, czy kanarek będzie to jadł?* – a przemytnik na to: – *Mam zmartwienie? Niech nie je*. Mira przerywała Wajdzie pytaniami w rodzaju: *Czemu oni nie uciekli, tylko dali się złapać, a czy kanarki jedzą kawę?* Wajda zaś gniewał się, że ona pojąć nie może dowcipu. Aby jej lepiej sprawę przedstawić, kazał jej zapomnieć o workach z kawą i wyobrazić sobie, że dwaj przemytnicy niosą np. fortepian. Teraz dopiero Mira wybuchała śmiechem: *Przećciez fortepian ciężki, dwaj nie dadzą rady!*

Widownia śmiała się, ale to ani w części nie przypominało tej burzy śmiechu, jaką wywoływały lwowskie dialogi. Kto wie, może z tych rozmówek Wajda-Grelichowska powstałby z czasem nowy rodzaj dialogów, ale Wajda umarł, nie zdolawszy doprowadzić dzieła do końca.

Vogelfänger występował czasem w Afryce z monologiem Tońka, czyni to teraz w Londynie, ale coraz rzadziej.

Po świetnych dialogach Szczepka i Tońka, wygłaszanych przed lwowskim mikrofonem, została pamięć o nich u starszych ludzi, film *Jutro będzie lepiej*, zbiór dwunastu dialogów, wydany we Lwowie w roku 1934, recenzje w licznych czasopismach i fotografie z ich występów podczas objazdu polskich miast na krótko przed wojną.



Tadeusz Fabiański

TADEUSZ FABIĄŃSKI (1894 Lwów – 1972 Kraków). Polonista, dziennikarz pierwotnie w „Słowie Polskim” we Lwowie, potem w Polskim Radiu Lwów jako sekretarz Rozgłośni. W 1939 wyjechał wraz z zespołem Lwowskiej Fali za granicę – przez Rumunię, Francję do Szkocji. Współpracował z Czołówką Teatralną nr 1 Wojska Polskiego, która objeżdżała z występami obozy polskich oddziałów na terenie W. Brytanii. Dalsze lata emigracji spędził w Londynie. Do Polski wrócił w 1948, zamieszkał w Krakowie. Napisał książki wydane pośmiertnie: *Na skraju dzikich pól* i *Marszanielka*.

Z Teresą Pakosz, dyrektorem Polskiego Radia we Lwowie, rozmawia Janusz M. Paluch



5 stycznia 1930 r. uruchomiono rozgłośnie Polskiego Radia we Lwowie? Czy w związku z tą, 85. już rocznicą organizują Państwo uroczystości jubileuszowe!

Nie organizujemy jakichś szczególnych obchodów. O rocznicy przypominamy na falach eteru. W ostatnią sobotę emitowaliśmy audycję, która dotyczyła Wesołej Lwowskiej Fali. Była to audycja emitowana w kontekście tej rocznicy. Ale to oczywiście nie koniec, bo posiadamy dużo ciekawych materiałów radiowych, które będziemy prezentować naszym słuchaczom cyklicznie. Nagrane materiały pochodzą m.in. z sesji poświęconej Polskiemu Radiu, która odbyła się w Warszawie. Organizatorzy zaprosili przedstawicieli Polskiego Radia Lwów i Polskiego Radia z Wilna – Radia znad Wili. Planujemy też audycje opowiadające o wojennych losach lwowskiego radia. A jubileuszu jako takiego nie jesteśmy w stanie zorganizować.

Ze względów finansowych?

Brak finansów przede wszystkim, ale to są również ogromne przygotowania. A trzeba przecież zadbać o cotygodniowe audycje.

W roku 2013 zrobiliśmy wystawę fotograficzną z okazji 20-lecia istnienia redakcji Polskiego Radia Lwów. Tę ekspozycję można obejrzeć w redakcji i w internecie na naszej stronie www.radiolwow.org. Opracowanie tego wymagało gruntownego opracowania i pochłonęło dużo czasu i środków, które uzyskaliśmy od Konsulatu Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej we Lwowie. Nasza redakcja składa się przede wszystkim z młodych ludzi, którzy ciągle potrzebują kształcenia, i cały czas młodzieżą się zajmują. Nie mają jeszcze doświadczenia i poważniejszych audycji jeszcze nie mogą zrealizować. Żeby coś naprawdę dobrego zrobić, to wymaga pomysłu i czasu.

Proszę opowiedzieć o zespole radiowym. Jak wygląda?

Redakcja Polskiego Radia we Lwowie ciągle oscyluje wokół dwudziestu osób. Są dwie redaktorki prowadzące wydania audycji – ja i Maria Pyż, moja córka. Reszta to młodzi dziennikarze, spikerzy, którzy dołączają swe cegiełki do programu, do obudowy całego głównego bloku. Młody narybek redaktorski to studenci dziennikarstwa i uczniowie szkół polskich we Lwowie. Realizatorzy radiowi to też młodzi ludzie. Uczniowie szkół średnich wcześniej czy później wyjeżdżają na studia do Polski. Tracimy wprawdzie wtedy współpracowników na miejscu, ale młodzi ludzie, zarażeni bakcyliem dziennikarstwa radiowego, zostają naszymi korespondentami radiowymi w Łodzi (Mieczysław i Antoni Pakoszowie), Warszawie (Stanisław Aprilaszwili i Stanisława Stańczyk-Wojciechowicz) czy Katowicach (Artur Kostiw i Zofia Wasyłyżyn). Wśród realizatorów ze starej kadry pracuje z nami tylko Genadiusz Świdziński, reszta to młodzi ludzie. Serwisantem jest Artem Golubenko, po studiach, i właśnie wyjeżdża na pobyt stały do Polski, stamtąd będzie nadawać korespondencje. Są dwie studentki dziennikarstwa Uniwersytetu Lwowskiego – Halinka Daszkiewicz i Mariana Marczyło. Niestety mają kłopoty z językiem polskim. Z polskiej szkoły nr 10 im. św. Marii Magdaleny jest z nami Agnieszka Baczyńska, Władysław Paszajew i Wiktoria Targiel, natomiast ze szkoły nr 24 jest więcej chętnych do pracy, a wśród nich Weronika Moczulska, Rafał Kuc, Anastazja Łoboda czy Anna Kunaniec. Jest studentka architektury Weronika Pazdej oraz psychologii Krystyna

Sałdan – studiują we Lwowie. Studiujący w Warszawie Stanisław Aprilaszewi również robi materiały. Oni pracują też w naszej „Telewizji po lwowsku”. Z poważnych osób trzeba wymienić Krystynę Łabaziewicz, która przygotowuje programy o Lwowie. Jest polskim przewodnikiem po Lwowie. Przygotowuje dla radia Kalejdoskop Lwowski oraz przybliża słuchaczom znane postaci związane ze Lwowem. Obecnie czyta też w odcinkach kolejny tom książki prof. Stanisława Niciey „Atlantyda kresowa”. Pracuje z nami od dawna Halina Wośkało, która prowadzi programy historyczne, muzyczne, o piosenkarzach, o filmie. Lwowianka zamieszkała w Warszawie Stanisława Stańczyk-Wojciechowicz robi wywiady z lwowianami oraz wydawcami i autorami świeżo ukazujących się książek, kustoszami muzeów, relacjonuje wydarzenia z Polski.

Nasza ramowa struktura to 3 godziny w każdą sobotę między godziną 9 a 12. Słuchajcie nas za pośrednictwem internetu. Zapraszamy! Pierwsza godzina jest luźna, wspomnieniowa, muzyczna. Druga godzina poświęcona jest publicystyce, polityce, informacjom. Wtedy prezentujemy również kalendarium i pozdrowienia dla solenizantów, to ma największe wzięcie. Ludzie telefonują wtedy do radia. Jest to też czas na prezentacje najważniejszych wydarzeń związanych z kulturą polską. Niedawno w tym bloku zaprezentowaliśmy wywiad z Krzesimirem Dębskim, który koncertował we Lwowie. Trzecią godzinę oddaliśmy młodzieży. Przedstawiają programy, jakie sami chcieliby usłyszeć, mówiące o tym, co chcieliby przekazać swym koleżankom i kolegom, swym rówieśnikom. Stworzyli nurty tematyczne: sport, architektura, poradniki na poziomie, kulinaria, kosmetyki i oczywiście o wydarzeniach kulturalnych interesujących młodzież. Od października ubiegłego roku, dzięki Konsulatowi RP we Lwowie, odbyło się wiele wydarzeń kulturalnych, poczynając od przeglądu filmów polskich, przez koncerty, spektakle teatralne. Odwiedziła Lwów Irena Andersówna, córka gen. Władysława Andersa i Renaty Bogdańskiej, która podpisywała swą książkę. Wtedy mamy możliwości zaproszenia znanych Polaków do naszego studia. Często jednak wspomagamy się rozmowami przez telefon – tak było przy okazji rocznic Stefana Że-

romskiego i Kornela Makuszyńskiego, kiedy rozmowy o nich i biograficznych muzeach w Nałęczowie i Zakopanem z ich dyrektorami odbywałyśmy przez telefon. Oczywiście nie pomijamy dramatycznych wydarzeń na Ukrainie. To też są relacje telefoniczne z Kijowa, Żytomierza, Doniecka. Uczestniczyłam też w uroczystościach 25-lecia Związku Polaków w Żytomierzu. Tam nagrałam wiele ciekawych rozmów. A audycja z 1 listopada zawsze poświęcona jest zasłużonemu Polakom. Ta ostatnia, w 2014 roku, przypominała o Polakach pochowanych na cmentarzu w Żytomierzu i dziennikarzach polskich pochowanych na Łyczakowie.

Wspominała Pani o telewizji... Cóż wspólnego ma radio z telewizją?

To jest nasza lwowska młodzież – „Telewizja po lwowsku”, którą opieramy na platformie www.youtube.com i do oglądania której zapraszamy i zachęcamy wszystkich interesujących się Lwowem. Nie tylko tym dzisiejszym, ale i tym starym także. Są razem z redakcją radiową i korzystać mogą z lokalu, sprzętu, no i naszego doświadczenia. Proszę nie mylić naszej telewizji z tą, która powstała przy „Kurierze Galicyjskim”. Nasza jest wcześniejsza i chyba posłużyła za wzór naszym kolegom z „Kuriera Galicyjskiego”. Te programy realizowane są przez naszą młodzież – uczniów szkół i studentów. Programy są pełne życia i entuzjazmu. Dzięki nim można dowiedzieć się na bieżąco, czym żyje Lwów, co zajmuje Polaków we Lwowie. Nie będę ukrywała, że do polszczyzny naszych młodych dziennikarzy można mieć wiele zastrzeżeń. Ale i nie ma się też czemu dziwić. W końcu praca w radio i telewizji ma też służyć temu, by ich język stał się pięknym literackim językiem polskim.

Jaki zasięg ma Polskie Radio Lwów?

Jest to rozgłośnia Radia Niezależność 106,7 FM. Stamtąd nadajemy audycje polskie. Myślę, że ok. 50 km poza Lwowem nas słychać. Nie potrafię powiedzieć tego na pewno, bo nigdy takich badań nie robiliśmy. I pewnie trzeba będzie spróbować, oczywiście siłami naszych dziennikarzy. Kiedyś, kiedy nadawaliśmy na falach średnich, było nas słychać w promieniu 200 km. Teraz nie ma fal średnich, jest UKF i pewnie przez to zasięg mniejszy. Ale, jak już wspominałam, jesteśmy obecni w internecie i dostępni dzięki temu na całym świecie. W odpowied-

nim czasie wystarczy włączyć nasze radio na www.radiolwow.org i słuchać nas. Nie potrafię też powiedzieć jaka jest słuchalność naszego radia. Otrzymujemy telefony podczas audycji, ludzie zaczepiają nas na ulicy, komentują nasze audycje, chcą rozmawiać. A przeprowadzenie badań słuchalności radia są bardzo kosztowne i nas na to nie stać. Oczywiście, takie badania powinno się zrobić, choćby po to, by polskim władzom, które finansują naszą działalność, pokazać wyraźnie, że jesteśmy tu, we Lwowie, potrzebni ludziom. Istniejemy już 22 lata i przez ten czas nie mieliśmy środków finansowych, które na takie badania moglibyśmy przeznaczyć. Licząc, że we Lwowie mieszka około 40 tysięcy Polaków, jak odejmiemy od tej liczby dzieci oraz osoby nieinteresujące się poruszonymi przez nas problemami społeczno-kulturalnymi, to tak pesymistycznie licząc, słucha nas połowa lwowskich Polaków. Może drugie tyle skupia audycja katolicka. Więc z pewnością jesteśmy potrzebni.

Program religijny?

Jest program religijny, którym się zajmujemy nie nasza ekipa. Są to osobne audycje, emitowane w niedzielne wieczory między godzinami 19.00 a 21.00 – oczywiście czasu lwowskiego... Programy przygotowywane są przez redakcję katolicką pracującą pod kierunkiem ks. Rafała Zborowskiego, duchownego z naszej rzymskokatolickiej katedry, którego do tej pracy wyznaczył ks. arcybiskup Mieczysław Mokrzycki. Tam jest mało takich żywiłowych programów, więcej czytania tekstów. Ale bardzo dużym powodzeniem cieszą się „Koncerty życzeń”. Dużym zainteresowaniem cieszą się audycje dla dzieci – organizują dużo konkursów i audycje opowiadające o tradycyjnym polskim świętowaniu – czy to przed świętami Bożego Narodzenia, czy przed Wielkanocą. Właśnie konkursy, także w naszym programie, są najżywszą częścią, bo ludzie telefonują, odpowiadają na pytania, chcąc wygrać nagrody. Zresztą telefonują też wówczas, gdy wiadomo, że żadnych nagród nie ma. Sztuka dla sztuki. Wtedy wiemy, że nas słuchają!

Sumując – obecnie tygodniowo emitowanych jest pięć godzin audycji w języku polskim, z tej samej od ponad 20 lat siedziby...

Tak, ale do tego można dodać audycje Polskiego Radia Programu 5. Kiedy po-

wstaliśmy w 1992 roku, pierwsze audycje nadawaliśmy z Wysokiego Zamku, gdzie swą siedzibę miało Radio Lwiwska Chwyła. Po dwóch latach przenieśliśmy się do Radia Niezależnist i cały czas jesteśmy w tej rozgłośni. Audycje nadajemy ze studia przy ul. Kniazia Romana – dawna ul. Batorego. Siedzibę natomiast mamy przy ul. Rylejewa 9/6, która jest własnością Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie, z którą mamy podpisaną umowę użyczenia jako Polskie Towarzystwo Radiowe – tak się oficjalnie nazywamy. W tym samym miejscu znajduje się galeria i siedziba redakcji „Lwowskie Spotkania”, a od pewnego czasu rezyduje też korespondent „Kurieru Galicyjskiego”.

Mam nadzieję, że kryzys medialny na Kresach spowodowany przesunięciem środków przeznaczonych na ten cel przez Polskę z gestii Senatu RP do kompetencji Ministerstwa Spraw Zagranicznych macie już za sobą? Czy można mówić o poniesionych przez media stratach? Pamiętam, Pani w tamtym trudnym okresie miała szereg bardzo ostrych i alarmujących wypowiedzi...

Problemy są nadal, ale innego rodzaju. Teraz finansowani jesteśmy przez Fundację Wolność i Demokracja, kierowaną przez prezesa Michała Dworczyka z ramienia MSZ. Od dwóch lat mamy dotację na takim samym poziomie. Tak więc kwotę, którą otrzymaliśmy w roku ubiegłym, gwarantują nam na ten rok. I to jest dobrze, bo wiemy od początku roku, na czym stoimy. Pyta pan o straty... Oczywiście są straty będące wynikiem tego kryzysu. Przed kryzysem, przed wizytą wiceministra spraw zagranicznych Janusza Ciska, nadawaliśmy 4 godziny polskiego programu. Ta wizyta była bardzo nieprzyjemna. Na szczęście jego już nie ma, bo to co mówił, co proponował, doprowadziłoby do całkowitej zagłady polskich mediów na Ukrainie. Obecna dotacja wystarcza nam na trzy godziny emisji. Wiąże się to także z podwyżkami, na szczęście niewielkimi, jakie przez ten czas nasza rozgłośnia musiała wprowadzić, kiedy dotacja nam nie wzrastała... Obecnie za jedną godzinę emisji płacimy 80 dolarów. I sądzę, że ta kwota ulegnie wcześniej czy później podniesieniu. I już się boję, czy nasza Fundacja Wolność i Demokracja będzie na tyle elastyczna i podniesie nam dotację, by znowu nie doprowadzić do ograniczenia emisji Polskiego Radia Lwów.

Jakie mają Państwo plany na przyszłość?

Przede wszystkim rozszerzenie godzin emisji i rozszerzenie audytoryum słuchaczy. Już od pewnego czasu przymierzamy się do wydania płyty. Na nasze 20-lecie wydaliśmy płytę dźwiękową „Przewodnik dźwiękowy po Lwowie”. Pracowaliśmy nad nią przez trzy lata, a są tam zapisane opowieści naszych przewodników po Lwowie. Ta opowieść podzielona jest na działy, np. radio, sport etc. Do tej płyty nie wszedł dział poświęcony polskim poetom i pisarzom lwowskim. Kiedy zaczęłam się w ten temat zagłębiać, wiedziałam, że nie jestem w stanie zapanować nad tym materiałem czasowo. I teraz, na nasze 25-lecie chciałabym taką płytę, poświęconą ludziom pióra, wydać w formie przekazu dźwiękowego połączonego z obrazem. Byłyby to wędrowki po Lwowie, podczas których opowiadalibyśmy o znanych twórcach i jednocześnie pokazywalibyśmy miejsca z nimi związane. Na razie jednak na to przedsięwzięcie nie mamy środków finansowych, ale też do naszego jubileuszu parę lat zostało. Drugim takim elementem, na który musimy kłaść w planach mocny nacisk, to sprzęt. Oczywiście mamy na czym pracować i nie możemy narzekać, ale technologia się tak szybko rozwija, że za nią nie nadążamy. I trzeci ważny element naszych planów na przyszłość to udostępnienie w internecie naszych programów z przeszłości. Przekazujemy nasze audycje Fundacji Wolność i Demokracja, bo od nich na ich realizację otrzymujemy środki. Teraz czeka nas też duża praca związana z tworzeniem przez Konsulat RP wirtualnego Domu Polskiego i przekazaniem dla jego potrzeb wielu audycji realizowanych przez radio. Poza tym chcemy pozyskać środki na archiwizację.

Wirtualny Dom Polski? Przecież była mowa o realnym, prawdziwym Domu Polskim...

Dom Polski niby jest, a praktycznie go nie ma... To znaczy jest lokal. Budynek ma trzy piętra, a ziemia, na której stoi, jest własnością Rady Miasta Lwowa... A ukraińskie prawo mówi, że jak nie ma prywatnej ziemi, to nie można niczego, co na niej stoi, remontować, odnawiać. Zatwierdzić użytkowanie działki ma Rada Miejska Lwowa. Obiekt miał być przez resort wojskowości



przekazany Radzie Miejskiej i tak się stało. A Rada Miejska dała go w dzierżawę na 49 lat i już dwa lata minęły...

I nic tam nie zrobiono?

Coś robią, siedzibę ma biuro projektowe i projektują, ale ni końca, ni kraju nie widać. Poza tym jeden z konsulów pocieszył nas, mówiąc: *Proszę sobie nie wyobrażać, że to będzie siedziba dla polskich organizacji, to będzie Europejskie Centrum Kultury i Współpracy...* W takiej sytuacji trudno powiedzieć, czy będziemy mieli tam mieli jakiegokolwiek możliwości zaistnienia. O tym, co się tam dzieje, nie informują nas ani nie angażują do czegośkolwiek. Trudno mi, choć jestem dziennikarką Polskiego Radia we Lwowie, cokolwiek powiedzieć na temat Domu Polskiego we Lwowie. To jakby temat tabu... Nie pytają nas, czy mamy jakieś potrzeby, jako radio, telewizja, chór Echo czy inny zespół taneczny. A wypadłoby jednak zwrócić się do nas, organizacji polskich, zapytać, jak my to widzimy, jakie są nasze oczekiwania...

Na stronie Radia Lwów zauważyłem wywiad z merem Lwowa. Czy samorząd miasta wspiera Polaków w ostatnim czasie?

Najważniejsze, aby nie przeszkadzali. Tak jak było dotąd. A pomoc, najlepiej żeby się przekładała na finanse... Myślę, że sam mer Sadowy niewiele może. Jest realizatorem uchwał rady miejskiej. Rozmawialiśmy z nim o naszych problemach. Ale jego odpowiedzi są na poziomie europejskim, czyli niewiele wnoszą, a już zupełnie żadna decyzja za nimi nie idzie. Pytamy go w wywiadzie o kościół Marii Magdaleny, kiedy w końcu zostanie oddany wiernym i Kościołowi. A on na to, że przecież odbywają się tam msze święte i nie bardzo w związku z tym wie, o co nam chodzi... Wszystko klarowne!

Serdecznie dziękuję Pani za rozmowę!



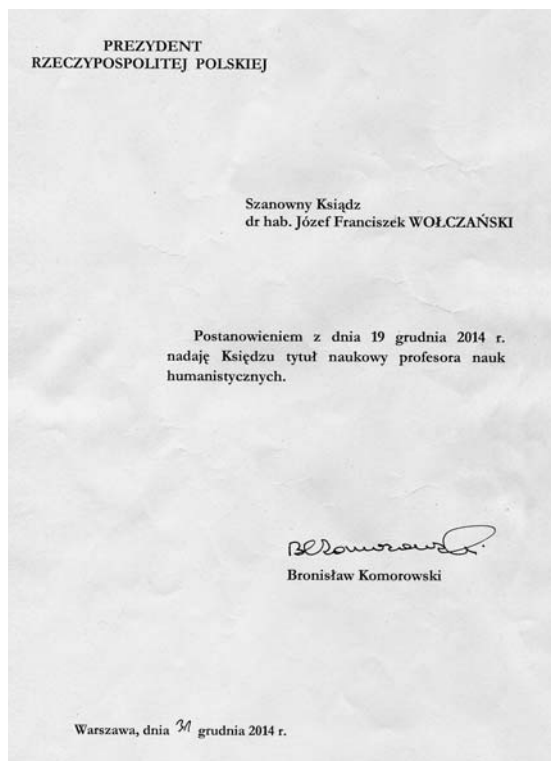
GRATULACJE DLA KSIĘDZA PROFESORA JÓZEFA WOŁCZAŃSKIEGO

Znany dobrze naszym Czytelnikom ks. dr hab. Józef Wołczański z Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie otrzymał od Prezydenta RP nominację na profesora zwyczajnego nauk humanistycznych.

Ks. J. Wołczański jest znany nie tylko w gronie naukowym historyków Kościoła – ze szczególnym uwzględnieniem Kościoła rzymskokatolickiego na Ziemiach Południowo-Wschodnich (archidiecezja lwowska i nie tylko), lecz również w szerokich środowiskach ekspatrianckich i emigracyjnych. Ksiądz Profesor wydał szereg prac naukowych, które poruszają problemy mało dotąd omawiane w literaturze, są to więc prace pionierskie.

Wręczenie aktu „belweder-skiego” nastąpiło w Pałacu Prezydenckim w Warszawie 28 stycznia 2015 r. – tu załączamy odbitkę dokumentu.

Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów PW ma zaszczyt złożyć Księdzu Profesorowi gratulacje i serdeczne życzenia – *Ad multos annos!* Do gratulacji i życzeń dołącza się zespół redakcyjny naszego kwartalnika „Cracovia-Leopolis”.



Niestety nie było możliwe przeniesienie na odbitkę wypukłych pieczęci, które stanowią szczególną ozdobę takiego dokumentu.



foto: Wojciech Olkuszniak,
Kancelaria Prezydenta RP

Wolność i pokój to wielkie wartości

Homilia wygłoszona 22 listopada 2014 r. przez ks. Rafała Zborowskiego,
wikarego z katedry lwowskiej – w Bazylice Mariackiej w Krakowie
w czasie dorocznej mszy św. dla Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów
Południowo-Wschodnich

Drodzy Bracia i Siostry!

Dzisiaj, w tym jakże ważnym dniu, gdy gromadzimy się przy ołtarzu Pana na Eucharystii w 96. rocznicę oswobodzenia Lwowa spod władz wojsk ukraińskich, pragniemy ogarnąć swoimi modlitwami szczególnie Obrońców Lwowa, przede wszystkim tych, którzy oddali swoje – jakże często młode – życie po to, by Lwów był polski. Ale chcemy również pamiętać o niezliczonych rzeszach rannych, o rzeszach represjonowanych, zastraszanych, poniżanych czy wreszcie zmuszanych do ucieczki tylko dlatego, że byli Polakami. Takie sytuacje miały miejsce nie tylko w czasie wojny polsko-ukraińskiej, ale faktycznie w różnym stopniu i nasileniu trwały do końca komunizmu, a niektóre formy pozostają do dnia dzisiejszego. Wspominając tych wszystkich bohaterów, chcemy uczyć się patriotyzmu, chcemy budować świadomość odpowiedzialności każdego z nas naszego narodu, szczególnie wśród ludzi młodych, którzy dopiero kształtują swój światopogląd. Dlatego ogromnie się cieszę, że dzisiaj gromadzimy się w tak szerokim gronie zarówno tych, którzy bardzo wiele pamiętają z tamtych czasów, jak i tych, którzy urodzili się już w wolnej Polsce. Jest to wyraz naszego zaangażowania nie tylko w historyczną pamięć o dziejach naszego narodu, ale i troska o przyszłość. Bo jakże kruchy jest pokój, to doskonale widać na przestrzeni minionych wieków. Chociażby wspomniane dzisiaj losy Polski i Polaków, którzy jeszcze nie zdążyli się nacieszyć zbliżającym końcem I wojny światowej i upragnioną wolnością, gdy zupełnie niespodziewanie 1 listopada 1918 roku Ukraińcy zawłaszczyli sobie Lwów i Południowo-Wschodnie Ziemie. Ale i ukazują nam to obecne czasy, gdy jesteśmy naoczniymi świadkami wydarzeń z naszej wschodniej granicy, mimo że wydaje się nam to niemal niemożliwe w dzisiejszych

czasach, w tej jakże rozwiniętej i cywilizowanej Europie. A jednak! Wolność i pokój to wielkie wartości, wartości, które niesiemy w glinianych naczyniach. Chwila nieuwagi, chwila beztroski lub, co gorsza, bezmyślności może spowodować ich uszczerbek, a nawet utratę, za które najwyższą cenę płacą nieraz całe pokolenia.

Jak już na wstępie wspomniał Ksiądz Profesor, przyjechałem ze Lwowa, gdzie od pięciu lat pełnię posługę duszpasterską w lwowskiej katedrze. Przybyłem ze Lwowa, chociaż sam pochodzę z tej części Małopolski, z Łącka koło Nowego Sącza. Dzisiaj pragnę podzielić się z wami swoimi spostrzeżeniami i doświadczeniami związanymi ze Lwowem i Kresami Wschodnimi. Mam świadomość, że należę do pokolenia przejściowego, które wchodziło w dorosłe życie już w wolnej Polsce i niewiele pamięta z tamtych czasów, a okres wojenny znamy tylko z lekcji historii i rodzinnych opowieści. Moja rodzina w jakimś stopniu uczestniczyła w wojnie polsko-ukraińskiej, mój dziadek został ranny pod Lwowem, ale szczęśliwie wrócił do domu. Natomiast brat mojej babci razem z drugim żołnierzem jako pierwsi zawiesili biało-czerwoną flagę na Ratuszu lwowskiego Rynku. Mój wujek, pochodzący z podlwowskiej miejscowości Wartaki, w wieku 9 lat wraz z rodzicami i rodzeństwem został zesłany na Syberię. Udało im się przetrwać i przyjechać na Ziemie Odzyskane. Osiedlili się w Jeleniej Górze, jednak do dzisiaj wujek nie potrafi się przełamać, by opowiedzieć, co przeżyli podczas zesłania. Gdy postanowiłem wyjechać do Lwowa, poszedłem pożegnać się z mieszkańcami domu opieki w Tarnowie, w którym sprawowałem opiekę duszpasterską. Wtedy wiele ze starszych osób tam przebywających ze łzami w oczach błagało mnie, abym nie wyjeżdżał na Ukrainę, bo, jak mówili, tam

mnie zabiją. Oni jeszcze jako dzieci uciekli wraz z rodzicami z tej ziemi w obawie przed bandami UPA. Już we Lwowie byłem i jestem otwarty na ludzi i ich dole. Często o nich opowiadają. Spotkałem się bardzo często z wieloma ludzkimi historiami, które dzisiaj wydają się na pierwszy rzut oka jakby niezauważalne, a tak naprawdę niemal każdy Polak mieszkający we Lwowie czy na Kresach Wschodnich i mający przynajmniej 60–70 lat mógłby napisać osobną książkę o swoim życiu i swojej rodzinie, której wiele z rozdziałów to głębokie rany, które może i zasklepia upływający czas, ale w pamięci pozostają świeże na zawsze. Wspomniany wujek, który przetrwał zsyłkę na Syberię, poprosił mnie, abym pojechał do jego rodzinnej wioski i poszukał śladów jego rodzinnego domu. Pamiętał również rodzinne mogiły z drewnianymi krzyżami. Mogiły znalazłem. Duże drewniane krzyże też są. Ale po rodzinnym domu pozostały tylko drzewa owocowe, które rosły w pobliżu. Taki sam los spotkał przecież tysiące innych polskich rodzin. Zrobiłem zdjęcia tych miejsc i dałem wujkowi. Powiedział, że nigdy nie zdobędzie się na to, aby tam pojechać i zobaczyć to wszystko na własne oczy. To jest ponad jego siły!

Jedna z parafianek również opowiedziała mi tragiczną historię swojej rodziny. Gdy była małą dziewczynką, dostali informację, że bandy składające się z okolicznych Ukraińców chcą napaść na ich wioskę. Jej mama zebrała dzieci i powiedziała, że muszą wszyscy uciekać, ale wtedy najstarszy jej syn, który miał już około 16 lat, powiedział, że on zostaje, bo nie ma się kogo bać, bo przecież zna się ze wszystkimi w okolicy, zarówno z Polakami, jak i Ukraińcami. I został. Reszta rodziny uciekła. Wrócili za dwa tygodnie, gdy wszystko przycichło. Widok był przerażający. Ciało 16-letniego chłopca rozczłonkowane znajdowało się dosłownie wszędzie, w całym domu. Jego matka ścierała krew ze ścian, podłogi i sufitu przez cały dzień. Tylko tyle z niego zostało, bo uwierzył, że z rąk sąsiadów nic mu nie zagraża. Minęły lata, siostra tego chłopaka wyszła za mąż za pilota, który na początku lat 80. zginął w katastrofie lotniczej. Pochowała go na cmentarzu Janowskim we Lwowie. Wystarała się o przyzwoity nagrobek. W latach 90., gdy nastąpiła wolność, przychodzi jak zawsze

na cmentarz na grób męża. Patrzy, a tam wszystko zrównane z ziemią. Po grobowcu nie ma śladu. Dowiaduje się, że teraz w tym miejscu będzie pomnik bohaterów ukraińskich. Nie pomogły interwencje, nie pomogły wyjazdy nawet do Kijowa. „Wolna Ukraina” odebrała jej nawet grobowiec męża. Czy tak wygląda prawdziwa wolność? Ile takich jeszcze podobnych historii skrywają serca tysięcy Polaków mieszkających na Kresach Wschodnich, czy tych, którzy musieli szukać gdzie indziej swojego miejsca na ziemi? A dzisiaj? Jak wygląda życie dzisiaj? Jakie są relacje między Polakami i Ukraińcami na tamtych terenach? Mówiąc krótko – te relacje są bardzo różne. Czasem zwyczajne, normalne, sąsiedzkie, a czasem i skrajne. Widać wyraźnie co najmniej niechęć miejscowych władz do wszystkiego co polskie. Również i do kościoła rzymskokatolickiego, który do dzisiaj potocznie jest nazywany polskim. Wydawać by się mogło, że w ostatnich miesiącach, po tylu życzliwych gestach i solidarności wyrażonej przez władze w Polsce i przez wielu ludzi organizujących pomoc i wsparcie dla Ukraińców, te relacje na Ukrainie nareszcie się poprawią. Jednak zupełnie tego nie widać, nawet na szczeblach władzy zarówno świeckiej, jak i kościelnej. I nie odczuwa się jakichkolwiek oznak wdzięczności dla Polski czy Polaków. I myślę, że wielu Polaków mieszkających na Ukrainie taka sytuacja boli i to bardzo mocno. Oni nadal pozostawieni są samym sobie tylko przez to, że są i czują się Polakami.

Drodzy Bracia i Siostry, niech dzisiejsza uroczystość uwrażliwi nas na sprawy społeczne i narodowe, niech ożywi pamięć, która ogarnie dzieje zrywów i powstań, klęsk i zwycięstw wielu pokoleń Polaków. Niech nam uświadomi, jak z wielkiego dorobku przeszłości korzystać. Nie zmarnujemy tego ogromnego dziedzictwa. Podejmujemy wciąż trud odpowiedzialności za przyszłość naszego narodu. Niech Bóg błogosławi naszym szlachetnym wysiłkom. Niech błogosławi naszą Ojczyznę, bo gdzie przelana choćby jedna kropla polskiej krwi, tam jest Polska. Gdzie mieszka choćby jeden Polak, tam jest Polska. Gdzie wisi polska choćby jedna najmniejsza biało-czerwona flaga, tam jest Polska. Gdzie bije choćby jedno polskie serce, tam jest Polska. Amen.

Jak co roku chcemy podziękować Panu Bogu za to, że dożyliśmy następnej rocznicy Obrony Lwowa oraz prosić o opiekę i powierzyć Mu nasze naszych bliskich.

Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazwani synami Bożymi.

Módlmy się za Kościół Święty, aby głosząc cierpiącym i prześladowanym Ewangelię nadziei pozostawał zawsze nieskrępowany w swojej misji niesienia pokoju, przebaczenia i pojednania.

Ciebie prosimy – wysłuchaj nas, Panie!

W nadchodzącym roku kościelnym ogłoszonym przez papieża Franciszka Rokiem Życia Konsekwentnego obchodzonym w całym Kościele od I niedzieli Adwentu – módlmy się za papieża Franciszka oraz Pasterzy Kościoła, aby w sercach wszystkich ludzi rozpalali pragnienie świętości, które towarzyszyło w życiu św. Janowi Pawłowi II. Niech miłosierny Bóg umacnia papieża i duchownych napelnia apostołskim duchem i strzeże dla dobra całego Kościoła. Ciebie prosimy...

Święta miłości kochanej Ojczyzny, czują cię tylko umysły pocziwie! Dla ciebie zjadł smakuj truczyny. Dla ciebie więzy, pęta nie zelżywe (bp Ignacy Krasicki) – Módlmy się za naszych Rodaków żyjących za wschodnią granicą, bo gdzie jeden Polak tam i Polska, o łaskę i błogosławieństwo dla nich, siły do przezwyciężania codziennych trosk, niejednokrotnie osamotnienia i trudnych warunków życia oraz świadomość, że my w granicach kraju o nich pamiętamy. Aby Pan otoczył opieką dbających o ocalenie polskiej kultury na Kresach i wynagrodził dobrym zdrowiem i życzliwością ludzi. *Ciebie prosimy...*

Cum tacet, clamant (łac. *milcząc, wołają*) – Módlmy się za Polaków, którzy żyli, pracowali i walczyli we Lwowie podczas wojny ukraińsko-polskiej w 1918 roku. Niech Najwyższy wplecie ich dusze w węzeł życia i obdarzy ich niewiedzącym wieńcem chwały. Aby Bóg przyjął ich do Swojego Królestwa, a ich ofiara przyczyniła się do zgody, pojednania w prawdzie i wzajemnego szacunku naszych narodów. Cześć ich pamięci. *Ciebie prosimy...*

Módlmy się za organizacje kresowe, w tym szczególnie za krakowski oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich i wszelkie organizacje pomocy Polakom na Kresach jednoczące mieszkańców i sympatyków Kresów w trosce o miłość i dobro dziedzictwa, solidarność oraz o zainteresowanie sprawą Kresów wielu, którzy będą przekazywać to dzieło następnym pokoleniom i nie pozwolą, aby męczeństwo Polaków na Kresach poszło w zapomnienie. *Ciebie prosimy...*

Módlmy się za pokój na świecie, zwłaszcza za pokój na Ukrainie. Niech nasz Bóg, który jest Królem pokoju, obdarzy ludzi mądrością i przebaczeniem do pokojowego rozwiązywania wszelkich konfliktów. *Ciebie prosimy...*

Módlmy się za zmarłych polecanych podczas tej Eucharystii, aby przebywali z Chrystusem w niebie, po prawicy Boga. *Ciebie prosimy...*

Módlmy się za nas dziś otaczających ołtarz Chrystusa w tej mszy św. w intencji Kresów. O przemianę życia, przebaczenie i pamięć o wspomnianych wydarzeniach, abyśmy mimo wielorakich trudności potrafili dążyć do spraw Bożych. *Ciebie prosimy...*

Módlmy się za kierujących narodami, Polską, aby w swoim działaniu mądrze łączyli sprawiedliwość i miłosierdzie, a kierując się właściwymi wartościami, mieli zawsze na uwadze dobro wszystkich obywateli. *Ciebie prosimy...*

Módlmy się za naszą Ojczyznę, aby dobroć zwyciężała w niej nad krzywdą, miłosierdzie sięgało dalej niż sprawiedliwość, a gotowość pomocy przewyższała postawę obojętności. *Ciebie prosimy...*

Módlmy się za chorych i znajdujących się w trudnej sytuacji życiowej, aby w każdym położeniu potrafili zawierzyć Bożej miłości. *Ciebie prosimy...*

Módlmy się o pokój wieczny dla Polaków pomordowanych na Wołyniu i Kresach Południowo-Wschodnich, o przebaczenie win i Boże miłosierdzie dla sprawców śmierci i cierpień swoich bliźnich, a także o łaskę wzajemnego przebaczenia i pojednania pomiędzy narodami polskim i ukraińskim. *Ciebie prosimy...*

W czasie listopada w modlitwach wspominkowych pamiętajmy o ofiarach wojny, totalitarnych systemów i wszelkich zgubnych ideologii, o naszych Braciach i Siostrach, którzy zginęli w obronie wartości duchowych i patriotycznych. *Ciebie prosimy...*

Modlitwa przed błogosławieństwem: Boże miłosierny i sprawiedliwy, przyjmij ofiarę naszych Braci i Sióstr, którzy złożyli ofiarę krwi na Ołtarzu Miłości Ojczyzny na Wschodzie. Obmyj ich w krwi Baranka, Twojego Syna, Jezusa Chrystusa, aby mogli się przyodziać w białe szaty zbawienia. Niech ich ofiara przyniesie pokój, zgodę, sprawiedliwość i miłość. *Prosimy przez Chrystusa, Pana naszego. Amen.*

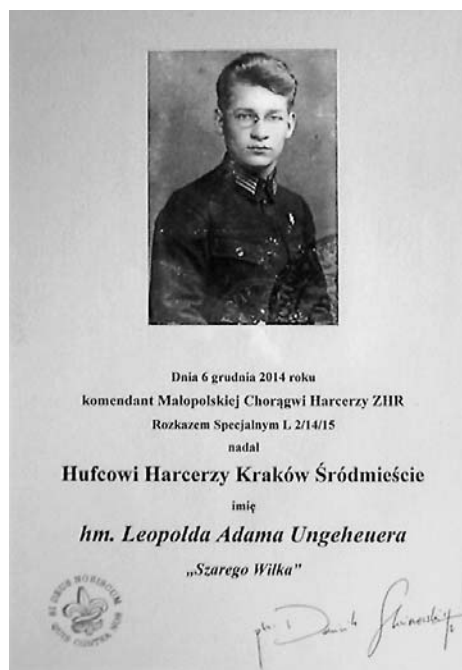
Panie Boże Wszechmogący, wejrzyj na nasze prośby i przemieniaj nasze serca, abyśmy pragnęły tylko tego, co jest miłe Tobie. *Przez Chrystusa, Pana naszego. Amen.*

W Krakowie i dalej

Krystyna Ungeheuer-Mietelska

Lwowianin patronem Hufca ZHR w Krakowie

Patrzę na oprawioną w ramki fotografię mojego Ojca nieżyjącego już od 73 lat! Pod zdjęciem młodego harcerza jest napis:



Pismo oczywiście zaopatrzone jest pieczęcią harcerską i podpisem Komendanta Chorągwi phm. Dominika Skwierawskiego.

Moja wypowiedź na ten temat nie będzie laudacją mojego ojca, Leopolda, ale ma być relacją nadzwyczajnego wydarzenia, o jakim nawet nie mogłam marzyć i zupełnie się nie spodziewałam – zważywszy, że wiele lat upłynęło od Jego instruktorskiej działalności.

Najważniejsze dane biograficzne: Leopold Ungeheuer urodził się 21 maja 1903 r.

Ludową Szkołę i Gimnazjum ukończył w Rzeszowie. Już w grudniu 1914 r. wstąpił do harcerstwa. Po maturze w 1923 r. podjął studia na Wydziale Mechanicznym Politechniki we Lwowie. Był społecznikiem i sportowcem (w jeździe figurowej na lodzie w parze z Marylą Gołąbówną – swoją narzeczoną – zdobył I miejsce w zawodach wojewódzkich w Toruniu 22 stycznia 1928 r.). Jeszcze w klasie maturalnej kierował męską III Drużyną Harcerską im. Stefana Czarnieckiego, działającą przy I Gimnazjum w Rzeszowie, a następnie drużynowym VII DH im. Księcia Józefa Poniatowskiego składającej się z uczniów Gimnazjum im. Jana Długosza we Lwowie (1926–1930). Podharcmistrem został w maju 1923 r., harcmistrzem zaś 2 grudnia 1932. W 1931 r. został kierownikiem Wydziału VII Kształcenia Starszyny Komendy Lwowskiej Chorągwi Harcerzy, prowadził również referat kształcenia drużynowych. Był także członkiem Zarządu Oddziału Lwowskiego ZHP. Wchodził w skład znanej we Lwowie grupy instruktorów harcerskich „Argonauci”.

W latach 1931–33 był członkiem redakcji lwowskiego dwutygodnika „Skaut”, na którego łamach publikował artykuły pod pseudonimem „Szary Wilk” (zawodowo pracował w Wojskowym Przedsiębiorstwie Budowlanym we Lwowie). Najważniejszą publikacją była jego książka o kształceniu starszyny drużyn harcerskich pt. *Próby wodzów*. Spotkała się wtenczas z dużym uznaniem w środowisku.

Począwszy od 1987 roku książka *Próby wodzów* była kilkakrotnie wznawiana, o czym nie miałam długo pojęcia! To rewelacyjne i niezwykle uszczęśliwiające mnie, że praca i służba mojego Ojca Leopolda, oddanego bez reszty idei kształtowania postaw i charakterów młodzieży harcerskiej, nadal owocuje i żyje!

W roku 1939 mój ojciec został powołany do służby wojskowej, skąd powrócił po inwazji radzieckiej 17 września. Podczas okupacji sowieckiej działał w konspiracji, gdyż „Argonauci” związali się z tajną Organizacją Walki o Wolność. Został członkiem Komendy Chorągwi Lwowskiej Szarych Szeregów (1939–1940). Został aresztowany 5 lipca 1940. Uwięziony w „Brygidkach” był poddawany częstym przesłuchaniom. Zdołał uciec wraz z pewną grupą współwięźniów, kiedy do



W imieniu Kapituły MChH ZHR hm. Ryszard Wcisło oraz mistrz Kapituły phm. Dominik Skwierawski wręczają Krystynie Ungeheuer-Mietelskiej złoty Medal Harcerskiej Wdzięczności

Lwowa wkraczali Niemcy w dniu 29 czerwca 1941. Jednak nie odzyskał sił po więziennym maltretowaniu i zmarł 6 grudnia '41, wpisując się w ten sposób w martyrologię narodu i harcerstwa polskiego. Miał 38 lat...

Uroczystości nadania Patrona Hufcowi Kraków-Śródmieście 6 grudnia 2014 r. podzielone zostały na trzy części. Najpierw uroczysta msza św. z koncelebrą w rocznicę śmierci Patrona w Kaplicy Brackiej Bazyliki OO. Karmelitów na Piasku. Głównym celebransem był ks. Przemysław Cios HO, kapelan hufca. Msza św. odprawiona została z pełnym rytuałem harcerskim, z Pocztą Sztandarową, w obecności wszystkich drużyn. Cała kaplica wypełniona była harcerzami pod dowództwem komendanta chorągwi phm. Dominika Skwierawskiego i komendanta hufca hm. Marcina Dorosza. Z mojej strony, oprócz mnie, obecni byli: mój mąż Marek Mietelski, jego brat Jan oraz mój serdeczny kolega hm. Zbigniew Bojda (tak jak mój mąż i on również – b. więzień polityczny okresu stalinowskiego). Był także daleki krewny – Paweł Ungeheuer z synkiem. Moja siostra Grażyna Ungeheuer-Aharon – mieszkająca za granicą – nie mogła przyjechać.

Kaplica Bracka zwana jest także Kaplicą MB Szkaplerznej, której wizerunek zdobi ołtarz, a święto przypada 16 lipca. Ze wzruszeniem wspominałam trójkę nastoletnich

przyjaciół, których połączyło harcerstwo: Leopolda Ungeheuera, jego szkolnego kolegi Józefa Gołęba wraz z siostrą Marią (Marylą). Leopold i Józef jako ochotnicy uczestniczyli w wojnie polsko-bolszewickiej w r. 1920 i dostali się do niewoli. Po latach harcerskiej przyjaźni Leopold i Maryla zawarli związek małżeński właśnie 16 lipca 1929 r. w święto MB Szkaplerznej, równocześnie w dniu imienin Maryli. To, że msza św. w intencji mojego Ojca odbyła się właśnie w tej kaplicy, uznałam za szczególnie Znak.

Druga i trzecia część uroczystości miały miejsce w sali gimnastycznej XX Liceum w Krakowie. O godzinie 17.00 odbył się apel z odczytaniem rozkazu Komendanta Chorągwi nadającego Hufcowi Patrona. Przewodniczył pwd. Bartłomiej Dębowski HO, z-ca hufcowego. Nie muszę mówić o tym, jakie wzruszenie było moim udziałem! Następnie hm. Leopold Ungeheuer został pośmiertnie odznaczony Złotym Medalem Harcerskiej Wdzięczności im. Andrzeja Małkowskiego. Nie pamiętam, jak zdołałam podejść, aby ten medal leżący na polskiej fladze wziąć w dłonie... Ceremonii dokonali w obecności senatora RP prof. Kazimierza Wiatra Sekretarza Kapituły MChH ZHR hm. Ryszard Wcisło HR oraz Mistrz Kapituły phm. Dominik Skwierawski. Taki sam medal otrzymał też hufcowy – hm. Marcin Dorosz.

Potem odbyła się prezentacja wszystkich 10 drużyn. Stojąc na baczność, drużyny meldował stan osobowy drużyny, wymieniając jej Patrona. Meldunek kończył się zbiorowym, gromkim okrzykiem! Widziałam, że młodzi harcerze poważnie traktują swoje zadanie!

Przed przerwą zaproszono nas na oglądanie wystawy poświęconej Patronowi, wiele plansz zawieszonych na drabinkach. Była to częściowa replika wystawy, którą w 2006 r. urządził w Tarnowie archiwista hm. Marek Popiel badający historię harcerstwa polskiego.

Ostatnią częścią uroczystości był „kominiek”. Dano mi do zapalenia świecę, która stała na środku sali, gdzie zaimprovizowano ognisko. Otrzymaliśmy śpiewniki i zabrzmiały harcerskie piosenki. Swoje po-

ezje czytał hm. Marcin Dorosz. Wspaniały był program artystyczny, w tym skecze i scenki wykonane przez harcerzy, a gdy zabrzmiał polonez Ogińskiego „Pożegnanie Ojczyzny” zagrany na skrzypcach – to już byłam w siódmym niebie. Nastroj był wręcz wspaniały. Wielu było znakomitych gości, których jednak nie umiem wymienić. Były też wypowiedzi o charakterze historycznym: senatora Kazimierza Wiatra i mojego męża. Mnie też poproszono o zabranie głosu. Po harcersku połączyliśmy ręce... Potem była wspólna fotografia.

Jestem wdzięczna za tak piękną oprawę tej uroczystości. Jestem wdzięczna wszystkim, których zainspirował mój Ojciec – teraz już Patron Hufca. On może z góry patrzy na umiłowaną młodzież harcerską, w której pokładał nadzieję – i raduje się!

Z kroniki żałobnej

Z wielkim żalem pożegnaliśmy w grudniu dr. inż. Zdzisława Machowskiego (1922–2015), geodetę, pracownika naukowego AGH w Krakowie, a zarazem znakomitego turystę górskiego i narciarza. Oraz człowieka niezwykle życzliwego i miłego.

Pan Zdzisław nie pochodził z najbliższych nam wschodniomałopolskich stron,

jednak przez małżeństwo z Panią Romą, rodem z podlowskich Przemyślan, związał się uczuciowo z naszą Małą Ojczyzną i naszym środowiskiem. Wyjeżdżał z darami do naszych Rodaków, a przy tym zwiedzał tamte strony, poznawał nasze wspaniałe Wschodnie Karpaty.

Pozyskał sobie sympatię i wdzięczność po obu stronach jałtańskiego kordonu. Spoczął na cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Nie zapomnimy Go.



Przy okazji pokazujemy zdjęcie wykonane w 2002 r. w Busku, w czasie corocznego kuracyjnego pobytu tam Pani Władę Majewskiej. O zamiarze letniego przyjazdu zawsze nas zawiadamiała. Na zdjęciu widzimy (od lewej) państwo Zdzicha i Romę Machowskich, Panią Władę, p. Krystynę Grzegocką i p. Romana Hnatowicza. Zdjęcie wykonał i wydarzenie opisał Andrzej Chlipalski.

Stefi Stojalska

Seret

Gdy mnie zawołasz, nic mnie nie zatrzyma,
Pójdę, położę się na twojej fali...
Co się ku słońcu buntem wznosi, wzdyma,
I będę na niej jak łódź się kołysać,
Bić wciąż o brzegi twarde jak ze stali...
Oczyrna jasność z niebiosów wysysać!

Na zew twój przyjdę i jak łabędź biały
Przypadnę piersią do twej srebrnej grzywy,
Którą burz szalały i wichry rozwiały,
I jak skrzydłami nakryję się cała,
Wstrzymam zazdrośnie fal twoich odpływy,
Lśniące jak lama, co mieni się, pała!

Gdy mnie, Serecie, wezwiesz, to przylecę,
Jak Posejdona rumaki ogniste
Z fal twych stopami iskry skrzeseć, wzniecę,
Złoty gościniec za sobą zostawię,
A w zamian wezmę twej wody przeczyszczej...
I wszystkim rzekom nią pobłogosławie!

Czarodziejska kraina

Nad czarodziejską krainą Podola,
Wyśnioną cicho przez dobrego Boga...
Białoperłowych chmur łabędzie płyną,
Jak zaświatowa aniołów załoga.

Hen.. w urodzajnej krainie Podola
Wykołysanej w snach dobrego Boga...
Wiosna umaja łąki, jary, pola,
Kąpie je w ciepłe promieni pożoga.

Ku tej słonecznej, kochanej krainie,
Za którą wieczna nostalgia cię toczy,
Droga, co w trawach wybujających ginie,
Idziesz... za tobą moje oczy.

Ku tej krainie marzennej, pieśnianej,
Pięknej jak obraz barwny i uroczy,
Idziesz w zieleni dokoła rozslanej,
A het za tobą idą moje oczy.

Tabu moje...

Na drogę życia wezmę z sobą
Tylko tej ziemi grudkę jedną...
I Twoich oczu baśń podniebną,
W której gwiazd smuga lśni ozdobą,
Te skarby drogie... Tabu moje,
Do rubinowej urny serca,
Zamknę wśród uczuć swych kobierca,
Świeżego, niby kwiatów roje.
I prostym szlakiem pójdę wtedy
Ku cudnej szklanej górze życia...
Lecz gdy napadną mnie z ukrycia
Ból i zawodów – widm czeredy,
Które zwiastują złą niedolę...
To wyjmę z serca na otuchę
Maleńką grudkę ziemi suchej,
Co zapachniałaby mi Podolem,
Tamtejszym słońcem, wiatrem, gajem
I usta w czarną ziemię wtulę
W szlochu ścisząc tęsknot bóle
Za utraconym moim Rajem.

Z cyklu „Podole”

W noc uśmiechniętą srebrnicą księżycą
Przyśniły mi się uroczym oddale...
Biarritz, Wenecja, miast włoskich królowa,
Rzucona niby nenufar na fale,
Prężące się jak węzów błyskawica!

Benares... gęstwa świątyń, wież, wieżyczek,
Biała fantazja strzelistych marmurów,
Tworząca rzeźbę jasną, koronkową,
Jak z mgieł tkaną hen... na tle lazurów,
Jak z chmur usnutą o barwie śnieżyczek!

Wyciągałam ręce do tej pięknej dali...
Złudy... mirażu... mego „Iluzjonu”...
I zapatrzona w widok Neapolu,
W czar dolin, pełnych wiosennego tonu,
Płakałam we śnie, nocą z gwiazd – opali!

Lecz kiedy oczy otwierałam o świcie,
Oczy wilgotne chwilą, w której łkałam,
I gdy powiodłam niemi po Podolu...
To się też swoich rumienić musiałam,
To się ich wstydzić będę całe życie!

*Dwa wiersze tej niegdyś czortkowskiej autorki drukowaliśmy wcześniej, w CL 1/08.
Tam też znalazła się informacja o autorce p. Bogdana Rogali-Turskiego (Szczecin),
który te wiersze nam nadesłał przed wielu laty.*

Jan Parandowski

Znakomity pisarz o wielkim uczonym

Tekst pochodzi z tomiku *Wspomnienia i sylwety*.
Tytuł autorski poniższego tekstu: *Brückner*.

W roku 1922, jako kierownik literacki księgarni wydawniczej H. Altenberga we Lwowie, zainicjowałem serię monografii pt. „Wielcy pisarze” i z pierwszym listem zwróciłem się do Aleksandra Brücknera, prosząc o napisanie dziesięcioarkuszowej książki o Mikołaju Reju. Minął tydzień, po nim drugi – nie było odpowiedzi. Pod koniec trzeciego tygodnia doręczono mi przesyłkę pocztową z Berlina: był w niej rękopis zamówionej książki.

Był i list, w którym profesor dziękował, że mu dałem sposobność przemyśleć na nowo człowieka i dzieło po upływie pół wieku, od czasu wydania wielkiej monografii autora *Człowieka pocziwego*. Byłem zdumiony. Bez wątpienia Brückner wolał, zamiast odpowiadać na list listem, napisać książkę, o którą go prosiłem. Taki był rytm pracy tego oszołamiającego warsztatu, skąd przez kilkadziesiąt lat wychodziły setki tomów, broszur, rozpraw, artykułów.

Od razu rzecz o Reju poszła do drukarni i okazało się, że ani połowa stronicy nie wykraczała poza dziesięć arkuszy, jak było umówione. Kiedy rękopis wrócił z pierwszą korektą (Brückner z góry zrezygnował z korekty), zamknąłem go w swoim biurku na pamiątkę. Tam on spłonął po powstaniu razem ze wszystkim, co posiadałem. Zachował się tylko w mojej pamięci. Brückner posłużył się wspaniałym papierem, przeznaczonym do dyplomów honorowych Berlińskiej Akademii. Były to wielkie arkusze, które pociął na ćwiartki i na czystych odwrotach napisał swoją książkę. W tekście znalazło się niewiele skreśleń i poprawek, było widoczne, że spłynął mu z pióra lekko i zamaszyście.

Nie mam dziś tej książki w swojej bibliotece i żałuję, że pisząc to wspomnienie nie mogę do niej zajrzeć. Jako druk wyglądała żałośnie i mój wydawca Altenberg po prostu się zawstydił, gdy z drukarni przyszły pierwsze egzemplarze. Były to złe

czasy, powojenne, papier był liche, drukarnie zdewastowane. Cała seria „Wielcy pisarze” urodziła się pod złymi gwiazdami – oprócz Brücknera pojawił się tylko tam jeszcze *Mickiewicz* Mariana Szykowskiego, i na tym koniec. Brückner bardzo żałował: miał ochotę jeszcze na parę monografii.

Przez szereg lat od czasu do czasu przechodziła od niego kartka (bodajże nigdy nie pisywał listów) z jakimś zapytaniem albo podziękowaniem za przesłane książki, ta skąpa korespondencja ożywiła się po moim artykule o *Słowniku etymologicznym*. Napisałem go pod pierwszym wrażeniem i pojawił się w „Wiadomościach Literackich” pod koniec roku 1927 pt. *Życie słów*.

Przeczytałem właśnie *Słownik etymologiczny* Brücknera i jestem pod niewypowiedzianym urokiem. Czytałem go naprawdę, strona za stroną, jak książkę, bo jest to słownik osobliwy, nie do porównania z żadnym innym. Ustępuje mu nawet stary Linde, ulubiona lektura naszych najlepszych pisarzy. Na pozór nie różni się od zwykłego dykjonarza, tak samo podzielony na przegródki, od słowa do słowa. Ale w tym surowym kształcie mieści się treść wspaniała. Mówi o życiu słów i opowiada ich dzieje. Jest niby wielki romans historyczny o mowie polskiej, pisany fragmentami, kapryśny, pełen przerw, niedomówień, nawrotów i jak sam język – nieskończony.

Dzisiejsza organizacja pracy naukowej wymagałaby w podobnym przedsięwzięciu pewnej zbiorowości, redakcji złożonej z kilku czy kilkunastu uczonych, rozciągnęłaby się na lata, starzałaby się u swoich początków, nie widziałaby przed sobą kresu, nawoływałaby do pomocy materialnej rząd i społeczeństwo. Indywidualista Brückner, który ukończył siedemdziesiąty rok życia, dźwignął ten trud na własne barki i zbył go z taką lekkością, jakby wcale nie odczuwał jego ciężaru. Dzieło zbiorowe byłoby niewątpliwie kilkutomowe, bardziej wyczerpujące, ostrożne, mocno obwarowane bibliografią i cytatami, ale nie byłoby ani tak świeże, ani tak jednolite, a przede wszystkim mniej dostępne.

Ten jeden tom może sobie kupić każdy i przeczytać z jak największym pożytkiem, bo nie nastęrczy mu się żadna zawiałość i nie odstrasza go uczone hieroglify. Wszystko jest cudownie przejrzyste w tej czystej

esencji zdumiewającej wiedzy berlińskiego profesora. Jest to bowiem jakby suma jego dotychczasowych badań. Zasadniczy zrab *Słownika* istniał już przed dwudziestu laty, kiedy pojawiły się jego *Dzieje języka polskiego*, książka fascynująca, której należy się od dawna nowe wydanie.

Pracownia Brücknera-etymologa wygląda jak laboratorium. Bierze słowo po słowie jak botanik kwiat, jak entomolog owa, jak chemik okruszyny materii, rozdziela je, rozkłada – i szczęśliwszy od tamtych widzi w głębi swego mikroskopu nie tylko budowę, cechy gatunkowe, grę atomów, ale zarazem ich początek, rozwój, a nawet okoliczności, wśród których powstawały lub odbywały swoje przemiany. Przez te małe szczelinki, co je wzrokiem jasnowidza przebija w zwartym mroku pradziejów, podchwytuje strzępy nigdzie nie zapisanej historii, mglisty blask czasów zupełnie zagubionych, wieść o bycie niepowrotnie strartym z pamięci ludzkiej, niekiedy i pejzaż jakichś pierwotnych osiedli, opuszczonych przed lat tysiącami.

Istnieją bowiem słowa, które nas prowadzą w okres od XXX do XX wieku p.n.e., kiedy byliśmy jeszcze częstką rodu aryjskiego, nierozróżnioną ani w mowie, ani w zwyczajach. Wzięliśmy stamtąd, oprócz wszelkich form i sposobów układania dźwięków, spory zasób wyrazów na określenie liczb, członków ciała, stosunków pokrewieństwa, zjawisk w przyrodzie, roślin i zwierząt hodowanych w owej najodleglejszej spólnocie – i unieśliśmy ze sobą, gdy przyszło się pożegnać z braćmi, którzy również szli ku swym nowym przeznaczeniom, na założenie Indyj, Grecji, Rzymu. W tym pierwszym oderwaniu Słowiańszczyzna przez kilkaset lat żyła razem z Litwą na świeżo zajętych obszarach nad średnim Dnieprem, Niemnem i Wisłą. Te same słowa służą im wówczas na wyrażenie nowo poznanych rzeczy. Ów związek zrywa się około r. 1000 p.n.e. i odtąd przez piętnaście stuleci wszystkie słowiańskie szczepy, jakiegokolwiek później odrosły, tworzą jedną

rodzinę. W r. 454 na pogrzebie Attyli wyprawili Słowianie strawę, czyli stypę, i była to, zdaje się, ostatnia ich wspólna biesiada. Ten pierwszy wyraz słowiański, jaki zanotowała pisana historia, padł już na wielkie rozdroże, które podzieliło między sobą dotąd zrosnięte szczepy. Od w. V zaczyna się odzywać mowa polska w swej odrębności dźwiękowej.

Język, ta wierna kronika, przechował pamięć wszystkich odmian losu. Idąc jego drogą, za przewodem starych słów widzimy Praslówian, ciągnących ku nowym siedzibom z lekkim radłem, aby od Niemców wziąć ciężki, ostry pług. Gdzie staną, tam rozbijają namioty (stany, wieże i jaty) albo kłę-
 chałupy z gałęzi i chrustu,

o oknie do oka podobnym, póki od Gotów nie nauczą się budować kamiennych ścian. Wojują łukiem, strzałami, oszczepem, a zakrywają się drewnianą tarczą, szczytem, którego ostry koniec przenosi się później na wierzchołki gór. I znów Gotowie dają im broń żelazną, miecz i hełm, uczą ich używania pieniędzy, bo do tej pory płacili tylko płacami Inianego płótna, zwożą im towary, jak szkło, ocet, wino, wreszcie narzucają im wyraz kniaźdz, z którego wyszedł ksiądz i książę, gdyż

anarchistyczni Słowianie nie stworzyli własnej nazwy dla panującego, a rząd wyrażał u nich co najwyżej uprząż.

Parę słów wystarcza, aby przywołać do świadomości rany doszczętnie już zablężnione. Któż nam opowie najazdy Awarów, spustoszenia wsi, lęk przed ich przewagą, uścisk ich jarzma? Ślad już po tych ciemiężycielach nie został, a my, nie wiedząc o tym, mówimy o nich codziennie. W słowie olbrzym (dawne obrzym) przetrwało groźne imię wroga. W wieku VI panowali Awarowie niemal nad całą zachodnią Słowiańszczyzną. Wtedy to pan, urzędnik chana awarskiego, wybierający daniny, wyparł zacnego gospodzina, co od gości wziął swą łagodną nazwę i przetrwał jeszcze na dalekiej Rusi, dokąd nie doszli Awarowie. A wreszcie, bardziej znajoma, przegląda się w zwierciadle



Aleksander Brückner

słów cała historia Polski. Są tam pierwsze modlitwy młodego chrześcijaństwa, odgłosy wszystkich wojen i pochodów w obce kraje, zataczają się łuki granic państwa, ścielą się drogi kupieckich wędrówek, pstrzą się cudzoziemskie mody, zbiera się smutny dobytek polskiego pielgrzyma. Płynie to dziwne bogactwo rzeką o tysiącnych zakrętach, wartką, nieobliczalną, niepamiętną, co jak każda żywa woda nie dba, ile z niej ubędzie, ile jej ujdzie z łożyska, skoro nowe wiosny wypełnią ją po brzegi.

Ze szczególnym upodobaniem prof. Brückner rozważa te słowa, które niosą wiadomość o dawnym bycie, buduje z nich pierwsze osiedla, uprawia nimi rolę, zastawia stół, wykreśla krąg życiowych doświadczeń, wnika w prastary obyczaj i odgaduje to, co najgłębiej zasypane popieliskiem – wierzenia naszych pogańskich przodków, gdy przysięgając sięgali ręką do ziemi, gdy się ku niej przy kłątwie kłaniali, a właściwego imienia dębu nigdy nie wymieniali. Te rzeczy są dlań najwyższej wagi. Oprócz luźnych wskazówek przy poszczególnych wyrazach poświęca im osobne ustępy, jak: „Bóstwa”, „Dom”, „Fauna”, i „Flora”, „Kalendarz”, „Nacznia”, „Nazwy miejscowe” (tu można dosłuchać się nieraz stłumionego głosu zaginionych tubylców), „Pieniądz”, „Rola”, „Ubiór”, „Zboże” itd. W tych rozdziałach zarysowuje się już *Historia kultury polskiej*, którą znakomity uczony zamierza nam dać niebawem.

Najważniejsze słowa mają na swych korzonkach odrobinę ziemi, z której wyrosły. Pochodzą z pól, lasów, gór, rzek. Niewiele przy nich znaczą te o słabym rumieńcu, co powstały na kamieniach miast, i te zupełnie bezduszne, co je ugniotły ręce uczonych. Tamte tworzyła prosta, nieskrępowana wyobraźnia rolnika, łowcy, górala, rybaka i raz utworzone naginała ku nowym pojęciom, bez żadnych reguł, kapryśnym, niepowściągliwym popędem. Nieświadomie, jak okrzyk wezbranych piersi, wytryskała poezja cudnych skojarzeń. Co drugie słowo jest meta-

forą. Posępny od sępa, szczep (plemię) od szczepienia drzew, treść od rdzenia drzewa, albo ów łańcuch niezwykle: bóg – zboże – bogaty – ubogi. Ta swobodna twórczość językowa do dziś pozostała przywilejem i tajemnicą ludu.

W jego gwarach i odchyleniach narzeczowych odbywa się dalej ta sama budująca i niszcząca praca, która w prawieku wyłoniła odrębne mowy ze wspólnego aryjskiego podłoża. „Jak Anteusz dotknięciem matki-ziemi, tak i język artysty tam siły nabierze” – pisał kiedyś Brückner.

Sam bowiem kocha słowa. Wydobywając je spod pyłu wieków, ze spleśniałych pergaminów, wyluskując z mowy ludu, garnie do siebie wszystkie i raduje się, gdy mu tak oto w dłoniach rosną.

Kocha nie tylko te piękne i mądre, ale i koślawe i niedorzeczne. W swoim *Słowniku* prowadzi z nimi nieprzerwane spory. Zzyma się na ich kaprysy i narowy. Karci błędy, poskramia swawolę. Są to jednak przekomarzania miłosne. Nie ma w tym oburzenia, a nade wszystko doktrynerstwa. Jeśli młodo polskim poetom wytknie z przekąsem różnych zmyślonych „witeziów” i „gontyny”, to w tej samej chwili, rozejrzawszy się w obszarze

literatury polskiej, gotów o jej pisarzach zawołać z uniesieniem: „... toć to twórcy językowi, toć ci, co mu odświeżną świetność nadają!”

Odłożyłem na chwilę pióro, aby raz jeszcze przerzucić kartki *Słownika*. Chciałem tylko sprawdzić ścisłość wyżej podanych cytatów, a zapadłem na nowo w lekturę. Niepodobna się uwolnić spod jej czaru. Piękne są słowa w aureoli bezkresnego wspomnienia. Miliony, dziesiątki, setki milionów ludzi złożyło w nich swe westchnienia i okrzyki. Kwitną one na nieprzeliczonych grobach i podają nam głos wymarłych stuleci. Wszystko jest w nich: ciężki oddech pracy, warsztat wielkich rzemiosł, ryk buntów, szmer marzeń. Odczuwam głęboki, serdeczny dreszcz wobec tej naocznej prawdy, że każdą swoją myśl wyrażam w słowach, które przesunęły się przez wargi mych najodleglejszych przodków.



Książki czasopisma

Nowe książki

📖 Jest wiele książek ciekawych, nie wszystkie jednak – nie ukrywajmy – są piękne. Nie mamy tu na myśli tzw. *literatury pięknej*, ale książki o charakterze wspomnieniowym, podróżniczym, opowieści historyczne czy wiele innych gatunków.

Książkę ciekawą i piękną napisał wrocławski lwowianin **Leszek Sawicki**. Ma tytuł, który zaskakuje: ***Pies i geolog drogą nie chodzą***¹, liczy 330 stron w 27 rozdziałach i bardzo wiele ilustracji (fotografii) z wielu miejsc świata.

Omawiana książka to wspomnienia z kilku epok własnego życia autora, spisane na tle różnych okresów historii i miejsc, przede wszystkim rodzinnego Lwowa i Małopolski Wschodniej, potem Wrocławia, a jeszcze potem z części świata, w których udało się autorowi znaleźć jako zapalonemu wędrownikowi.

Leszek Sawicki pochodzi z rodziny lwowskiej, choć urodził się w Kopyczyńcach (co wynikało z czasowych pobytów ojca jako inżyniera mierniczego w różnych miejscowościach). Po powrocie na stałe do Lwowa rodzina zamieszkała przy ul. Nabelaka 37. To zaskoczenie dla niżej podpisanego, który mieszkał (choć krótko) pod nr. 35, jednak w tamtych latach nie spotkaliśmy się, bo dzieliła nas kilkuletnia różnica wieku. Za to uczyli nas ci sami nauczyciele u „Magdusi”²: pani Ziemska i pan Waligórski.

Po pierwszych rozdziałach poświęconych dzieciństwu i dorastaniu opisuje Sawicki wojnę – jej wybuch, miasto w czasie kolejnych okupacji, naukę w sowieckiej szkole. To właśnie wtedy – gdy pewnego kwietniowego poranku 1940 roku chłopcy zastali w swej szkolnej klasie siedem pustych miejsc – była pierwsza wywózka i właśnie wtedy Leszek z kilkoma przyjaciółmi zawiązali Klub Kwitnącej Wiśni³.

Gdy odchodzili Niemcy – miał 17 lat – dostał pierwszą w życiu pracę w urzędzie jako

tłumacz z niemieckiego. Ciekawie opowiada o Ślązakach w niemieckiej armii – z nazwiskami czysto polskimi (lecz pisanych z niemiecka) i czujących się Niemcami. Kolejną pracę otrzymał na kolei, w końcu w 1943 r. został powołany do Baudienstu⁴, gdzie zatrudniono go jako kreślarza w komendzie.

Równocześnie jednak młodzież, w tym Sawicki, zaczęła się wiązać z konspiracją, a zarazem podejmować tajną naukę, przebraną przez wojnę.

To był czas, kiedy zaczęto odczuwać nadchodzące zmiany. Pracujący tu Niemcy (nie tylko ci, lecz wszyscy obecni we Lwowie, często z rodzinami) zaczęli myśleć o powrocie *nach Heimat*, natomiast w polskich środowiskach coraz silniej oczekiwano na sygnały o zapowiedzianej akcji „Burza”. We Lwowie pojawiło się coraz więcej ludzi związanych z konspiracją, także cichociemni – wielu z nich zamieszkało w domu Sawickich na górnym Łyczakowie⁵. Tu chwalebna rolę odgrywała matka Leszka.

Leszek Sawicki i jego koledzy zostali przyjęci do NOW⁶, wchodzącej w skład lwowskiej AK. Jednak wobec opanowania Lwowa przez oddziały sowieckie akcja „Burza” nie spełniła swego zadania, a chłopcy postanowili przejść za San. Dla Leszka było to pożegnanie ze Lwowem na zawsze...

Nieprzeparta chęć walki pchnęła młodych AK-owców na pomoc Warszawie, gdzie kilka dni wcześniej wybuchło powstanie. Nie dotarli tam niestety, natomiast zostali przechwyceni przez NKWD, które przekazało ich do armii Berlinga, stamtąd zaś do Oficerskiej Szkoły Lotniczej w Dęblinie. Tam powierzono Sawickiemu – jako umięcemu pisać na maszynie – funkcję szefa kancelarii.

Tymczasem rodzina Sawickich musiała poddać się ekspatriacji i osiadła na Dolnym Śląsku. Leszek, dojeżdżając tymczasowo z Dęblina, dostał się na Uniwersytet Wrocławski, na wydział przyrodniczy, wybierając w końcu geologię, a ukończył ją w roku 1950⁷.





Zaraz potem Leszek Sawicki został pracownikiem wrocławskiego oddziału Państwowego Instytutu Geologii i przepracował tam 45 lat, z czego przez 14 lat był jego kierownikiem. Opracowywano tam mapę geologiczną Dolnego Śląska, co wiązało się z nieustannymi badaniami w terenie kilku województw.

Nic więc dziwnego, że praca ta od początku wiązała się z podróżowaniem –

i to po całym świecie – które w końcu stało się istotną treścią jego życia. Oto już w 1959 r. włączono go do wycieczki geologów na Kaukaz, co dało uczestnikom możliwość fachowego penetrowania tego masywu górskiego. Bogatszy o to doświadczenie wszedł w skład grupy, która udała się w celach badawczych do Wietnamu, w związku z prowadzonymi tam poszukiwaniami różnych minerałów. Spędził tam dwa lata.

Po tych podróżach trafiło się całkiem inne wydarzenie. Sawicki wraz ze 150-osobową grupą został włączony do udziału w Międzynarodowym Kongresie Geologów w Pradze. Kiedy delegacja znalazła się na miejscu, nastąpiła słynna inwazja państw tzw. Paktu Warszawskiego na Czechosłowację, rządzoną wtedy przez Dubczeka. Był rok 1968. Kongres odbywał się pod kulami, a polscy delegaci ukrywali swoją narodowość, bo nastroje ludności nie sprzyjały Polsce, gdyż – jak pamiętamy – nasze wojsko zostało zmuszone do udziału w tym niesławnym wydarzeniu polityczno-militarnym.

Potem, w 1977 r., kiedy sytuacja polityczna zelżała, był jeszcze prywatny wyjazd do Indii i wiele innych wypraw w różne strony świata. Poznał Himalaje, Karakorum, Pamir, Tien-Szan, Gongga-Shan, Nilgiri, Ural, Andy, wulkany Indonezji, osiągał szczyty ponad 4000 m n.p.m. Kąpał się w morzach koralowych, w Nilu, Gangesie, Mekongu i Peczorze. Był w Tybecie i na Filipinach, w Malesji i Korei, w krajach południowoame-

rykańskich, w Turcji i wielu, wielu innych krajach i górach – wcześniej w grupach kilkunastoosobowych, później już tylko w 4–6 osób. Swoją aktywność podróżniczą zakończył w 2013 roku. Ostatnia trasa zawiodła go po raz trzeci do Tybetu.

Liczne piękne opisy podsumował rozdziałem zatytułowanym *Fotoplastykon*. To krótkie omówienia niektórych podróży, z których pozostały mu wielkie ilości zdjęć (szczerze ogólne wydarzenia, obserwacje, refleksje).

Książkę kończy wirtualnym powrotem do Lwowa. Był tam po wojnie wiele razy, obserwował, wspominał, rozmyślał. Przypominał założony z kolegami w czasie wojny Klub Kwitnącej Wiśni¹. W latach 90. zapisał się do Towarzystwa Miłośników Lwowa i KPW, woził pomoc dla rodaków za kordonem. Wspominał o czasopismach „Semper Fidelis” i „Cracovia-Leopolis” (bardzo pochlebnie!).

Książka Leszka Sawickiego jest znakomita – polecamy ją naszym Czytelnikom. Ciekawa, pięknie napisana, pełna nie tylko wiadomości o miejscach, ludziach czy wydarzeniach, ale z opisami, które cechuje myśl, erudycja i styl.

Na koniec pozwalamy sobie przytoczyć jeden z sumujących książkę akapitów:

Staralem się żyć ciekawie, w górach zawsze pociągało mnie to, co jest po drugiej stronie przełęczy. Nie widok ze szczytu, lecz właśnie przełęcz, miejsce odpoczynku i refleksji. Bardziej niż drogi interesowały mnie bezdroża, te, o których mówił mój uniwersytecki nauczyciel, że „pies i geolog...” Ciekawość świata zaprowadziła mnie do wielu uroczych zakątków, a pamięć – ale też i zapiski czynione w notatnikach – nie pozwoliły na ich zapomnienie. Teraz, gdy jestem w wieku, w którym należy tylko rodzyнки z ciasta wybierać – mam tych wspomnień bez liku. Są zawsze kolorowe, pachnące, o miłym dźwięku.

¹ Opublikowały ją aż dwie instytucje: Państwowy Instytut Geologiczny i Państwowy Instytut Badawczy (Warszawa 2014).

² Szkoła im. św. Marii Magdaleny na początku ul. Potockiego, dziś niezmiennie szkoła polska.

³ W ogrodzie Sawickich na Łyczakowie (patrz niżej) rosło takie drzewo. O klubie tym Sawicki napisał długie wspomnienie, które publikowaliśmy w CL 3 i 4/2008 – pt. *Korzenie, drzewo, złote liście*.

- 4 Baudienst był organizacją niemiecką, która powoływała do przymusowych prac fizycznych polską młodzież męską w wieku poborowym, nie mogąc jej powoływać do niemieckiej armii. Lwowska komenda Baudienstu mieściła się przy ul. Pułaskiego (tuż przy głównym wejściu do Parku Kilińskiego) w wielkiej willi należącej do II wojny do Wiktora Chajesa, bankiera i wiceprezydenta Lwowa (pisał o nim w CL 3/2010).
- 5 Dom ten zakupili Sawiccy na parę lat przed wojną.
- 6 Narodowa Organizacja Wojskowa. Należał tam też m.in. Bolek Opalek, dziś – od wielu lat – prezes rzeszowskiego oddziału Tow. Miłośników Lwowa i KPW.
- 7 Wśród wielu swoich profesorów, których wymieniał Sawicki, czytamy znane nazwiska uczelni lwowskich: H. Teisseyre, A. Jahn, M. Klimaszewski, J. Nikliborc, K. Maślankiewicz, S. Tołpa i szereg innych.

W „Rzeczpospolitej – Plus-Minus” z 13–14 XII ’14 zrecenzowano (G. Krzymianowski) nową książkę o tytule **Genialni. Lwowska Szkoła Matematyczna**. Autor Mariusz Urbanek pisze o czterech znakomitych matematykach lwowskich lat międzywojennych: Hugonie Steinhausie, Stefanie Banachu, Stanisławie Ulamie i Stanisławie Mazurze. Postacie to znane, ale dowiadujemy się wielu szczegółów z ich żywotów. Na przykład:

Steinhaus, z zamożnej rodziny żydowskiej, przykładął wielką wagę do czystości polszczyzny i odsyłał listy urzędowe, w których znajdował błędy stylistyczne. Banach – geniusz, który nie ukończył studiów – jego nazwisko w chicagowskim Museum of Science postawiono obok Pitagorasa i Euklidesa. Mazur był ideowym komunistą

i przed wojną członkiem KPP. Ulam, po wojnie osiadły w USA, porównywał słynne spotkania w lwowskiej „Szkockiej” z naukowymi dyskusjami, prowadzonymi tam przez wynalazców bomby atomowej (do których należał).

Recenzent książki pisze: ... *choć anegdota goni tu*

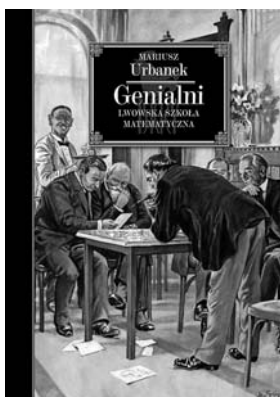
anegdotę, siła „Genialnych” nie tkwi bynajmniej w dowcipie. Wręcz przeciwnie, najważniejszy w tej książce jest nierozzerwalny spłot biografii uczonych z historią...

Stowarzyszenie Kresowian Kędzierzyn-Koźle nadesłało nam album zatytułowany **Lwów w malarstwie Józefa Lewczaka** (wyd. „Ars-graf”, Żyrardów 2014).

Autor urodził się w Biłce Szlacheckiej pod Lwowem (nie podano roku), a w 1945 r. jego rodzina musiała swoje strony opuścić i osiedlić się na ziemiach zachodnich. Tam uzyskał wykształcenie techniczno-budowlane o specjalności architektoniczno-budowlanej. Był kierownikiem budów, a także projektował. Równocześnie dużo malował, a na emeryturze poświęcił się wyłącznie malarstwu architektury, głównie zabytkowej. Jego zasadniczym tematem jest Lwów, jego piękno. Chce zachęcić oglądających swoje wystawy (miał ich ponad 20 oraz udział w wielu zbiorowych) do odwiedzenia Lwowa, który uznaje za jedno z najpiękniejszych miast polskich. (AC)



W oficynie wydawniczej „Rytm” ukazała się książka pt. **Krzemieniec – zaginione miasteczko**, napisana przez **Ryszarda Jana Czarnowskiego** (Warszawa 2014). Jest to obszerna gawęda o kresowym mieście, pisana przyjaznym dla czytelnika językiem, przeznaczona dla dawnych, obecnych i przyszłych turystów. Autor nazywa ją wspólną podróżą w czasie i przestrzeni. Pisząc o swych osobistych spostrzeżeniach w drugim dziesięcioleciu XXI wieku, przenosi czytelnika do wieków XIX i XX, kiedy to w Krzemieńcu działy się najważniejsze wydarzenia, których pozostałości widzi turysta na każdym kroku.



Książka podzielona jest na 12 rozdziałów, w których autor omawia dzieje miasta i Liceum Krzemienieckiego, życie społeczne, cmentarze, kolonię artystyczną w 20-lecie międzywojennym, dzieje zamku w Białokrynicy... Przy tym wymienia liczne postaci historyczne, które odegrały ważne role w rozwoju miasta i powstaniu Gimnazjum Wołyńskiego. Ale oprócz nich szczególnie obszernie omawia – a także cytuje ich wypowiedzi – najważniejsze osoby związane z Krzemieńcem: Juliusza Słowackiego, Zygmunta Rumla i niedawno zmarłą „ostatnią z wielkich” Irenę Mandecką. Tej ostatniej opowieści z jej długiego życia cytowane są dosłownie z zapisów fonoskopowych i mają znaczenie prawdziwych relacji świadka historii.

Książkę można przeczytać *jednym tchem* z dużą przyjemnością, chociaż w niektórych miejscach można by dodać pewne uściślenia lub uzupełnienia (niestety przydarzył się błąd w podpisach fotografii na ss. 59 i 61, które dotyczą kościoła parafialnego św. Stanisława Biskupa, a nie jak podano – kościoła Jezuitów, czyli Licealnego).

W publikacji znajduje się 37 fotografii czarno-białych oraz 21 kolorowych reprodukcji obrazów malowanych przez Anatola Maryniuka, współczesnego malarza krzemienieckiego.

Autor zachowany w Kresach II RP tą książką rozpoczął serię MOJE KRESY i zapowiedział wydanie kolejnych pozycji dotyczących Żółkwi i Grodna.

 Do krakowskiego środowiska kresowo-sybirackiego dotarła książka pt. **Wspomnienia sybiraków. Zbiór tekstów źródłowych. Część trzecia.** Wydawnictwo ukazało się staraniem Koła Związku Sybiraków w Bystrzycy Kłodzkiej pod redakcją **Jerzego Kobrynia i Janusza Kobrynia** (wyd. Bystrzyca Kłodzka 2013). Jest to wynik szerokiego odzewu środowiska sybiraków po ukazaniu się części 1 i 2 wspomnień. Zgodnie z podtytułem opasły tom zawiera oryginalne wspomnienia z lat zsyłki lub aresztowania 37 osób i ich rodzin rzuconych na „niełudzką ziemię”. Teksty wspomnieniowe zawierają mnóstwo faktów, dat, nazwisk, miejscowości, fotografii i dokumentów, co świadczy o ich autentyczności, chociaż każda historia ludzkiego życia jest inna. We wszyst-

kich przebija wspomnienie głodu, zimna, insektów, strachu, krzywdy i tęsknoty za rodziną i domem. Każda z historii mogłaby być tematem filmu lub książki. W omawianej publikacji bardzo cenną sprawą jest umieszczenie wielu, bo aż 12, wspomnień dzieci – wychowanków domów dziecka, rosyjskich lub polskich. W większości były to pełne sieroty. Te, które trafiły do rosyjskich domów dziecka, narażone były na szybkie wynarodowienie. Dlatego ważne były działania polskich pedagogów – też zesłańców – którzy wyszukiwali polskie dzieci i umieszczali w miarę możliwości w polskich domach dziecka. Z wdzięcznością wspomniany jest jeden z takich działaczy – Piotr Wojciechowski.

Odrębną częścią książki jest kilka rozdziałów zawierających teksty tłumaczone z języka rosyjskiego: Iriny Flige pracującej w „Memoriale” w Sankt Petersburgu, która zajmuje się formami upamiętnienia polskich ofiar terroru państwowego, oraz rozdziały Natalii Kruk i Olgi Kruszynskiej oparte na protokołach ze śledztw. Kolejną część publikacji (61 stron) stanowi 9 najlepszych prac uczniów – finalistów konkursu historycznego ogłoszonego przez Kuratorium Oświaty w Wałbrzychu we współpracy ze Związkiem Sybiraków w roku 1997/98. Przedstawiają one kolejne dzieje sybirackie spisane z opowiadań żyjących jeszcze świadków. Całość książki wydanej w Bystrzycy Kłodzkiej jest cennym wkładem w dokumentowanie syberyjskich dziejów Polaków.

Chociaż w ciągu ostatnich 25 lat ukazało się już wiele podobnych publikacji, to każdy dokument jest bardzo potrzebny. W tej książce przedstawiono losy tylko kilkudziesięciu rodzin, a przecież było ich setki tysięcy. A środowisko świadków w sposób naturalny stopniowo się zmniejsza. Podsumowaniem niech będzie cytata autorstwa Mariana Jonkajtysa:

*Choć smutek serce ściska
I żal, że Wasze drogi
W większości przekroczyły
Już ziemskich doznań progi
To jednak mocno wierzę
Że również te wspomnienia
Przedłużą pamięć o Was...*

(DTS)

Wertując wydawnictwa

➡ Prasa przypominała („Dziennik Polski” z 1 I ’15), że mija stulecie **połączenia Podgórza z Krakowem**. Przypomnijmy nieznanym dokładnie Krakowa, jego geografii i dziejów, że Podgórze to niegdyś osobna miejscowość położona po południowej stronie Wisły, gdy Kraków zbudowano przed wiekami (iloma?) po jej północnej stronie, pod Wawelem. Odmienne uкладаły się losy historyczne obu: gdy w czasie zaborów Kraków czasowo stanowił Wolne Miasto (Rzeczpospolitą), Podgórze weszło do zaboru austriackiego (podlegając Lwowowi jako stolicy Galicji), a granicą stała się Wisła. Stan ten trwał do czasu, gdy Kraków z bliskimi okolicami północnymi przeszedł do austriackiej Galicji, jednak nie doszło do włączenia Podgórza (już wtedy miasteczka) do Krakowa. Połączenia tego dokonał dopiero prezydent Juliusz Leo, przyłączając do Krakowa szereg otaczających podmiejskich gmin oraz właśnie miasto Podgórze – tworząc tzw. Wielki Kraków.

Dlaczego o tym tak szeroko piszemy? Łatwo się domyślić: oto Juliusz Leo pochodził spod Lwowa, urodził się w Stebniku w rodzinie o korzeniach niemieckich, lecz spolszczonej. Warto przypomnieć, że z Małopolski Wschodniej pochodzili najwybitniejsi prezydenci Krakowa: Józef Dietl, Mikołaj Żyblikiewicz, Feliks Szlachetowski. O J. Leo pisaliśmy szerzej w CL 1/03.

➡ Oddział **Instytutu Pamięci Narodowej** w Katowicach prowadzi poszukiwania informacji o losach kilkudziesięciu osób ze Lwowa i okolic, których 55 nazwisk figurowało na tzw. „afiszach śmierci” wywieszonych we Lwowie w lecie 1943 r., a następnie około 30 z nich zostało rozstrzelanych na pl. Krakowskim. Jakiej liczbie osób obiecano uwolnienie, jeżeli nie dojdzie do „gwałtów na Niemcach”. I tu jest wielka niewiadoma – czy osoby te zostały faktycznie uwolnione i co się z nimi stało? W zasobach dokumentów nie ma żadnych danych na ten temat, dlatego IPN zwraca się do świadków tamtych wydarzeń (sprzed 70 lat!), członków rodzin ofiar i innych osób, posiadających informa-

cje dotyczące tej zbrodni – Instytut Pamięci Narodowej, 40-145 Katowice, ul. Józefowska 102, tel. 32 207 02 03.

➡ Nadszedł z Wrocławia nowy numer „Życia Kresowian” (11/2014). Przypominamy, że jest to organ Oddziału Wrocławskiego TMLiKPW (nie mylić z Zarządem Głównym, który wydaje „Semper Fidelis”) – oddziału kierowanego przez Zdzisława Piwkę, obecnie również wiceprezesa – gratulujemy! Redaktorem naczelnym omawianego biuletynu jest Jan Józków. Pismo to opisywaliśmy w CL 2/2014.

W obecnym numerze znajdujemy sporo ciekawych materiałów. Pośród kilkunastu pozycji najbardziej spodobały się nam wspomnienia ze stron rodzinnych, z lat, które jeszcze możemy pamiętać osobiście, przez rodziców lub dziadków, ale także relacje ze współczesności. Jest to więc najpierw wspomnienie Michała Szpytki (ur. 1923) z Wólki Hamuleckiej k. Brzuchowic (spisała N. Pawelec) oraz *Wigilia na wsi samborskiej* Eugeniusza Smreki. Potem trzy wspomnienia wojenne (autorstwa J.M. Słabego, S. Citkowa, E. Dąbrowskiej) oraz interesujące wspomnienie i rozmyślenia Żyda, Samuela Pohorylesa, który na koniec wyemigrował do Izraela.



Spory blok tekstów wiąże się z organizowaniem corocznego konkursu wiedzy o Lwowie dla młodzieży (podano pytania). W maju ubiegłego roku do konkursu stanęło 76 uczniów ze szkół podstawowych, gimnazjów i liceów z Wrocławia i Oleśnicy. Przykładowe pytania na stopniu licealnym:

- Który król nadał prawa miejskie Lwowowi?
- Jak się nazywa rzeka, która do 1939 r. stanowiła granicę z ZSRR?
- Który król polski urodził się we Lwowie?
- Który budynek został jako pierwszy oświetlony lampami naftowymi?
- Co to były Krakidąły?

W sumie pytań było 13, a do każdego zaproponowano cztery możliwe odpowiedzi. Było też pytanie, które z wymienionych województw nie leżało na Kresach: lwowskie, stanisławowskie, tarnopolskie i małopolskie. To pytanie mylące, ponieważ nie było w 20-leciu ani wcześniej osobnego województwa małopolskiego, a spośród wymienionych trzy pierwsze stanowiły nieformalnie Małopolskę wschodnią.

Inny konkurs (sprzed roku) nazywał się *Rajd śladami pamięci Lwowa i Kresów Płd.-Wsch.* (organizowany po raz 20. przez Oddział Wrocławski, a chodziło o odszukanie i opracowanie na terenie Wrocławia i Dolnego Śląska zabytków, pamiątek i dokumentów związanych z życiem ludzi rodem z Kresów. Wzięło w nim udział 26 uczniów z 17 szkół.

Nieco o wybitnych postaciach: E. Serafin pisze o Vincenzie, Z. Domosławski przypomina niezwykłą sylwetkę lekarza i księdza Henryka Mosinga. Nie pominięto różnych wydarzeń związanych ze środowiskiem ekspatrianckim oraz młodzieży szkolnej na terenie Wrocławia i wokół niego.

Sporo dobrych omówień książek o bardzo różnej tematyce – oczywiście zawsze związanej z Kresami, ekspatriacją i wydarzeniami na nowych miejscach życia.

Trudno tu wszystko opisywać. Jedno jest pewne: pismo obejmuje ogromnie ciekawą, różnorodną tematykę. Prosiłoby się tylko o pewną jej segregację, zamknięcie w blokach tematycznych, zróżnicowanych graficznie. To pomogłoby czytelnikom w odnalezieniu się w bogatej problematyce.

Od Wołynia po Karpaty

CHÓR MARIAŃSKI NA WOŁYNIU

Niesamowita lekcja historii – pod takim tytułem w gazecie parafialnej pt „Z życia parafii...” (Najświętszej Marii Panny z Lourdes w Krakowie) w numerach 10, 11 i 12 z 2013 r. ukazało się sprawozdanie z tournée Chóru Mariańskiego po Wołyniu. W okresie od 6 do 13 sierpnia chór ten odbył wielką podróż na Wołyń według programu przygotowanego przez p. Macieja Wojciechowskiego. Trasa wiodła od przejścia granicznego Korczowa-Krakowiec poprzez dwadzieścia kilka miejscowości do przejścia granicznego Jagodzin-Dorohusk. Według opublikowanego sprawozdania odwiedzono następujące miejscowości: Lwów, Brzechowice, Olesko, Podhorce, Brody, Poczajów, Krzemieniec, Zbaraż, Wiśniowiec, Łozową, Szumsk, Ostróg, Równe, Janową Dolinę, Klewań, Ołykę, Łuck, Przebraże, Kostiuchnówkę, Czartorysk, Maniewiczze, Kowel, Luboml. W ciągu 8 dni chór odwiedził wiele parafii rzymskokatolickich, w których spotykano się z proboszczami i parafianami, w kilku dawano koncerty w czasie mszy św. i po nich.

Zapoznano się ze śladami materialnej kultury polskiej. Od przewodników i nowo poznanych osób przybysze z Krakowa poznawali historię ziemi wołyńskiej, tę dawniejszą i tę wciąż żywą, tragiczną z lat 1943–44, i tę współczesną dotyczącą życia odrodzonego Kościoła katolickiego na Ukrainie. Odwiedziny chóru przyczyniły się do dowartościowania niewielkich społeczności polskich otoczonych żywiołem ukraińskim, do przypomnienia kultury, języka i pieśni polskich.

Wrażenia i nabytą wiedzę opracowała i opublikowała p. Jadwiga Laska w gazecie parafialnej w obszernym sprawozdaniu.

(DTS)

SYLWETKI

Franciszek Doppler

W styczniu 2015 r. w czasie jednego z koncertów oratoryjnych w krakowskiej Filharmonii odegrano m.in. „Koncert podwójny d-moll” Franciszka Dopplera. Pozwiliśmy sobie na przepisanie z programu komentarza pióra Adama Walacińskiego.

Franciszek Doppler (1821–1883) był pochodzącym ze Lwowa flecistą-wirtuozem, kompozytorem i dyrygentem. Muzyki uczył się u ojca, oboisty grającego biegle na kilku innych instrumentach. W wieku lat trzynastu zadebiutował jako solista w Wiedniu, potem wraz z młodszym bratem Karolem, również flecistą, koncertował w całej Europie.

W 1838 roku osiedlił się w Budapeszcie – wówczas jeszcze Peszcie – gdzie prowadził ożywioną działalność: był pierwszym flecistą w orkiestrze tamtejszego Teatru Niemieckiego i orkiestrze operowej Teatru Narodowego. W roku 1858 został pierwszym flecistą i zastępcą dyrygenta baletu w operze dworskiej w Wiedniu. Po kilku latach powołano go na stanowisko profesora i kierownika klasy fletu w tamtejszym konserwatorium.

Droga życiowa Franciszka Dopplera sprawiła, że w Polsce uważany jest za kompozytora polskiego, na Węgrzech – węgierskiego, a w Austrii – austriackiego. Jego twórczość rozwijała się dwutorowo.

Jeden nurt stanowiły opery, ciesząc się w drugiej połowie XIX wieku dość znaczną popularnością.

Nurt drugi to kompozycje fletowe. Przeznaczony na występy z bratem efektowny, wyróżniający się niekonwencjonalną obsadą *Koncert podwójny* także dziś stanowi wdzięczne pole popisu dla zgodnego duetu solistów.

70. rocznica śmierci wielkiego matematyka

Ławeczka Banacha na krakowskich Plantach

Bywają przypadkowe spotkania, których skutki są dalekosiężne. Tak zdarzyło się w roku 1916 na krakowskich Plantach, gdy spacerujący uczony matematyk dr Hugo Steinhaus usłyszał rozmowę dwóch młodych ludzi na temat nowego pojęcia matematycznego, tzw. *całki Lebesgue’a*. Dyskutantami byli przyszli wybitni badacze – Stefan Banach i Otto Nikodym. Steinhaus – współtwórca lwowskiej szkoły matematycznej – pracował wówczas nad problemem matematycznym, którego nie mógł rozwiązać. Trudne zagadnienie przedstawił swoim nowym znajomym. Po kilku dniach Banach przyniósł mu gotowe rozwiązanie.

Steinhaus zatrudnił Banacha jako asystenta na Politechnice Lwowskiej, mimo że ten nie miał ukończonych studiów, matema-

tyką zajmował się amatorsko, a pracował jako nadzorca robotników.

Nikt nie wie, w którym miejscu na Plantach odbyła się wspomniana rozmowa. Krakowskie środowisko naukowe podjęło próbę ustalenia miejsca kultowego – właściwej ławki na Plantach. Matematycy, państwo Danuta i Krzysztof Ciesielscy, określili prawdopodobne miejsce spotkania: przy ul. Straszewskiego w pobliżu Wawelu. Ławeczkę postawiono w alejce obok zakola z popiersem Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Alejka ta istniała też sto lat temu, a na ławce umieszczono tabliczkę ze stali nierdzewnej z napisem: *Ławka upamiętnia rozmowę Stefana Banacha o matematyce w 1916 r.*

Był projekt umieszczenia na Plantach pomnika Banacha, ale nie uzyskano zgody władz. Jego popiersie odsłonięto w roku 1999 przed budynkiem Instytutów Matematyki i Fizyki UJ przy ul. Reymonta 4.

Stefan Banach stworzył dział matematyki – analizę funkcjonalną – i wprowadził pojęcie przestrzeni, nazwanych potem „przestrzeniami Banacha”. Obok Mikołaja Kopernika i Marii Skłodowskiej-Curie jest zaliczany do najwybitniejszych uczonych światowych.

WSCHÓD. ZACHÓDⁱ

Federacja Organizacji Kresowych *Warszawa 3 lutego 2015 r.*

Jego Magnificencja Rektor Uniwersytetu
Wrocławskiego
prof. dr hab. Marek Bojarski

Wasza Magnificencjo,

Rada Naczelna Federacji Organizacji Kresowych z zaniepokojeniem przyjęła arbitralną decyzję o zawieszeniu w prawach pracownika Uniwersytetu Wrocławskiego dr. hab. Bogusława Pazia w związku z umieszczeniem przez niego na zamkniętym profilu na portalu społecznościowym FB prywatnej opinii niechętniej zwolennikom ideologii Stepana Bandery, która doprowadziła do masowej zagłady obywateli Drugiej Rzeczypospolitej na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. Ten komentarz, choć wyrażony w sposób dosadny, ekspresywny, to jednak mieści się w granicach konstytucyjnie zagwarantowanej wolności wypowiedzi, jest bowiem negatywną oceną poglądów politycznych grupy ludzi (banderowców), a nie znieważaniem osób narodowości ukraińskiej.

Nie wolno utożsamiać wszystkich Ukraińców z nacjonalistami, którzy dokonali zbrodni ludobójstwa, jak to zrobiły władze uczelni. Wpisu dr. hab. Bogusława Pazia w żadnym wypadku nie można uznać za przestępstwo z tytułu „publicznego nawoływania do nienawiści na tle różnic narodowościowych” (art. 256 KK). Osoba, która skorzystała z konstytucyjnego prawa do wolności słowa, nie może być z tego powodu represjonowana.

Podejmowanie pod wpływem nagonki medialnej i z pominięciem wszelkich procedur decyzji o represji wobec znanego polskiego naukowca za wypowiedź w kwestii wywołującej polityczne emocje może być odebrane jako zagrożenie dla niezależności uniwersytetu od świata polityki oraz ograniczenie wolności samych przekonań, zarówno co do treści, jak i formy. Apelujemy do władz uczelni o zmianę stanowiska i przywrócenie profesora do pracy. Z wyrazami szacunku

Za Prezydium Rady Naczelnej Federacji Organizacji Kresowych:
przewodniczący Tomir Sołtan,
wiceprzewodniczący Adam Chajewski,
rzecznik prasowy Ewa Szakalicka

Do wiadomości otrzymują:
dr hab. Bogusław Paż,
Sejmowa Komisja Edukacji, Nauki i Młodzieży,
Senacka Komisja Nauki, Edukacji i Sportu,
Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego,
Członkowie Federacji Organizacji Kresowych,
Media

Archiwum

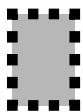
Lwów teraz cicho kima
Jak nieżywy – w maligni,
Ali, gdy będzie trzeba,
To un si znów podźwigni!
I pójdzi w świat piosenka,
Historia skreśli słowa:
O wniebowzięcie lwowian!
O zmartwychwstanie Lwowa!
I pójdzi w świat piosenka
W obłoki, szlakiem mlecznym,
Że Lwów jest zawsze wieczny!
Jak Rzym – jest miastem wiecznym!

* * *

Lwy kamienne – wiadomo –
Nie piją i nie jedzą,
Lecz wszystko dookoła
Widzą i wszystko wiedzą.
I ludzkim głosem przemówią –
Nie bój się, miły bracie!
Stoimy tu na straży
Przy lwowskim Magistracie!

Powyższy wiersz znaleźliśmy w materiałach po dr. Tadeuszu Krzyżewskim, a nadesłał mu go w 1972 r. lwowianin Bill-Bilaszewski, zamieszkały po II wojnie w Bristolu w Anglii.

LISTY DO REDAKCJI



W grudniu '14 nadszedł list od pani Barbary Czartoryskiej, która pisze:

Przede wszystkim najmocniej dziękuję za przysłane mi „Cracovia–Leopolis” – czytam nie tylko z wielkim zainteresowaniem, ale i z ogromnym wzruszeniem. Proszę przyjąć bardzo serdeczne życzenia błogosławionych Świąt i suk-

cesów wydawniczych oraz wielu dobrych chwil w 2015 roku...

Na odwrocie kartki znalazła się reprodukcja obrazu „Pokłon Trzech Króli” z Lekcyjona-rza z XV w., przechowywanego w Bibliotece XX Czartoryskich w Krakowie.

I my zasyłamy podziękowanie i serdeczne życzenia świąteczne (Święta minęły, ale życzenia ważne do oktawy!) oraz na Rok 2015!

A oto listy, nadesłane nam przez wspa-niałych Czytelników. Przedstawiamy ich oryginalne odbitki, bez przepisywania.

Szanowny Panie Redaktorze Naczelny „Cracovia – Leopolis” !
Z niepokojem i smutkiem odebraliśmy wieści o ewentualnym zakończeniu wydawania redagowanego przez Pana, jakże dla nas ważnego kwartalnika „Cracovia – Leopolis”.

Czy to prawda ? Czy to nam grozi ?

Jeżeli tak, to Drogi i Szanowny Panie Redaktorze, założycielu i twórcu, także tytułu czasopisma, uważamy, że ten znaczący periodyk nie może, nie powinien, zakończyć swej misji. Dla nas, Kresowiaków, jest to pismo jedyne, wręcz kultowe, w Polsce i na świecie, kontynuacja naszego życia, Kresów oraz ich historii. Panu i całemu zespołowi redakcyjnemu to zawdzięczamy i zniknięcie ogniwa naszych więzów jest nie do pomyślenia nie tylko dla nas, ale i naszych dzieci, wnuków, kolejnych pokoleń z kresowymi korzeniami.

Przecież nie chodzi o finanse ... w innych krytycznych potrzebach chętnie pomożemy. Jeśli o teksty, materiały idzie, to wprawdzie ważkich artykułów nie napiszemy, ale do wspomnień zmobilizujemy nasze środowisko. A wielu z nas ma cenne materiały, fotografie i jeszcze cenniejsze wspomnienia o przeżytej na Kresach młodości.

„Cracovia – Leopolis” doskonały tytuł jedyne pisma, które porządkuje wiedzę i historie Kresów, odnotowuje publikacje o rozległej tematyce związanej z Kresami, utrwała i umacnia więź – nie tylko geograficzną, ale i historyczną, które są szczególnie cenne, gdyż pozostają dla potomnych. Kresy to była Polska i takie pozostaną w dziejach naszej Ojczyzny, o czym zresztą dzisiejsi ukraińscy pisarze, publicyści i historycy coraz odważniej zaczynają pisać.

Prosimy wziąć pod uwagę powyższe argumenty, a także obiecujące Pańskie słowa z artykułu „Dwie dekady C – L”, w nr 80 **Co będzie dalej? Zobaczmy!**, a także z artykułu w tymże numerze „Za nami ćwierć wieku” : **Czekamy na następne 25-lecie!**

My też czekamy i to z ogromną nadzieją

Tadeusz Obard

Tadeusz Siemka

Wrocław, 14 września 2008 r.

Redakcja, Zespół i Rada Redakcyjna
Kwartalnika „Cracovia Leopoli's”
K r a k ó w

Z okazji szczególnego jubileuszu – wydania 55. numeru pisma – pragnę serdecznie podziękować Redaktorowi Naczelnemu Panu Andrzejowi Chłipalskiemu oraz wszystkim dawnym i obecnym PT członkom Zespołu i Rady Redakcyjnej za kilkunastoletnią pracę nad treścią i kształtem Kwartalnika i gorąco pogratulować osiągnięć w tym niełatwym, wymagającym wielkiego wysiłku dziele.

Jestem głęboko przekonany, że roczniki „Cracovia Leopoli's” są i będą nieocenionym źródłem wiedzy o historii naszych ukochanych Kresów Wschodnich nie tylko dla pochodzących stamtąd i ich potomków, ale również dla historyków.

Proszę przyjąć najlepsze życzenia jeszcze wielu osiągnięć.

Janusz Rubiś

LP 237

Wrocław 12-V-2005

BY AIR MAIL
par avion

12.05.06
06:45 pm
413702511

Corecyc
www.corecyc.pl



*Drogi Redakcjo, dziękuję
serdecznie za cały czas, ale
ponowiam zlecenie dopiero
dwa dni temu i przepraszam
za opóźnienie odpowiedzi.
Wszystkie zabiegi nie udało się
zrobić – gdyż nie starczyło mi
czasu. Mam dla was
„Tęcza groza” – ale nie wiem
jak z Londynu przekazać. Będzie
w lipcu w Białym – Złoty i
wtedy się zgłoszę – a może do
20 czerwca! – wiele serdecz-
ności i pozdrowień dla
całej Redakcji – Władysław Majewski*

*Witam Redaktor A. Chłipalski
c/o Cracovia Leopoli's - Kwartalnik
31-111 Kraków
ul. Piłsudskiego 27
Polska - Poland.*



DISTRIBUTION: 0208-459 7244

Tej kartki wcześniej nie pokazywaaliśmy, a ma już swoje lata!



PREZES RODZINY 14 PUŁKU UŁANÓW JAZŁOWIECKICH

Warszawa, 12 grudnia 2014.

Wielce Szanowny Panie !

Pragnę serdecznie podziękować Panu za przesłany nam za pośrednictwem Pani Marii Korzinek, numer „Cracovia Leopoldis” wraz z wydawnictwem „specjalnym” z okazji 25-lecia Oddziału Krakowskiego Towarzystwa. Niestety nie wiedzieliśmy o tej pięknej uroczystości, aby przesłać nasze z tego tytułu gratulacje, które załączam w imieniu naszej Rodziny Pułkowej, na Pana ręce, acz z opóźnieniem!

Równocześnie jest to okazja aby po raz kolejny pogratulować Panu redagowanego przez Pana pisma, zawierającego często bezcenne materiały, które zawsze, gdy tylko je otrzymujemy, czytamy z wielkim zainteresowaniem.

A ponadto dołączyć moje i całej naszej Rodziny Pułkowej najlepsze życzenia Błogosławionych Świąt Bożego Narodzenia dla Pana, Szanownej Redakcji oraz jeśli będzie taka okazja, za Pana pośrednictwem dla wszystkich Członków Oddziału. Zaś w Nowym Roku, wszelkiej pomyślności oraz owocnej pracy redakcyjnej!

Z wyrazami szacunku,

[Podpis: Józef Rogowski]
Z żoną (nowożeńcy)
Wawrzyn

SZANOWNA REDAKCJO!

Rzadko dociera do mnie Wasz Kwartalnik. Lecz gdy już dostałam, czytam Go po kilkanaście razy, a potem przekazuję koleżankom. Gdy się spotykamy, dyskutujemy na temat przeczytanych artykułów. Tak dużo jest ważnego, ciekawego i problematycznego. Dla nas, żyjących poza Krajem, Wasz Kwartalnik jest jak dobry łyk źródlanej czystej wody, której nam tak brak w życiu polonijnym w tym kraju. Dużo dajecie tak nam potrzebnej wiedzy, której to my sami tu zdobyć nie możemy.

Dla mnie Lwów był i nadal jest miastem polskim. A z tym, że moi przodkowie częściowo pochodzili ze Lwowa, pozwałam sobie przekazać moje wiadomości i wspomnienia o Rodzinie. Myślę, że jest to nie tylko opowieść rodzinna, również można odczuć klimat życia Polaków na Bukowinie do I i II wojny i po wojnach jak również w dniach dzisiejszych. Nie jestem historykiem, no może warto, żeby dzisiejsze pokolenie wiedziało choć w takiej prostej formie, że Polacy żyją nie tylko w Polsce i nie sztuka być Polakiem w Polsce, lecz sztuką było być Polakiem poza Jej granicami, a osobiście na Wschodzie.

Jezeli te teksty nie są warte i na nie nikomu się nie przydadzą, proszę jedynie o odpowiedź, czy dotarły do Was.

Z całego serca dziękuję w imieniu tutejszych Czytelników i osobiście całemu Zespołowi Kwartalnika za świętą sprawę, którą Waszą pracą wykonujecie i szczęście Wam Boże!

[Podpis: J. Huczbabinska]

ERRATA

Zmęczeni przygotowaniem dwóch poprzednich – szczególnych i obszernych – numerów, dopuściliśmy do powstania dużej liczby błędów, niedopatrzeń, opuszczeń. Dotyczy to przede wszystkim numeru 4/2014.

Zżyci z nami Czytelnicy zauważyli zapewne, że w numerze tym zabrakło (!) życzeń świątecznych (noworoczne zamieszczamy w niniejszym numerze). Znalazła się co prawda *Lwowska Kolęda*, ale bez tradycyjnej treści i formy życzeń na Boże Narodzenie. Wybaczcie, Czytelnicy, nie macie však wątpliwości, że zawsze życzymy Wam i Waszym bliskim wszelkich Łask Bożych, zdrowia i pomyślności!

Panią Weronikę Śliwiak przepraszamy za zniekształcenie Jej nazwiska w spisie treści na IV stronie okładki. W tekście na str. 57 jest na szczęście prawidłowo. Nb. nie był to błąd piszącego, lecz dość częsty błąd komputera. Nie tylko my mamy z tym kłopoty. Niestety nie zauważyliśmy tego we właściwym czasie.

Panów Józefa Rogowskiego i Tomasza Balbusa gorąco przepraszamy za zgubienie w druku krótkiej, ale ważnej informacji, jaka miała się znaleźć na s. 83 nad tytułem artykułu pt. *WŁADYSŁAW CISEK ŻOŁNIERZ WYKLĘTY*. Chodzi však m.in. o autora tego tekstu! Brakująca informacja powinna brzmieć następująco:

Nasz stały Czytelnik p. Józef Rogowski, zwerbowany w końcu września 1945 roku przez Władysława Ciska do organizacji WIN, przysłał nam wspomnienie o W. Cisku oraz informację o książce Tomasza Balbusa *W celi śmierci*, wydanej przez Oficynę Wydawniczą Politechniki Wrocławskiej w 1999 r.

Strony 14 i 15 uległy przedstawieniu – powinny się znaleźć w odwrotnej kolejności. Przecież narzucają to lata!

I na koniec: bardzo brzydko została wydrukowana duża część ilustracji. Rzuca się to w oczy szczególnie na dużej fotografii na s. 12. Twarze twórców Oratorium, mimo okazałych rozmiarów, są niemal nie do rozpoznania. Podobnie na stronie 56.

Przepraszamy gorąco wszystkich Czytelników i poszkodowanych Autorów!

Lwowski Klub Sportowy
 „Lwowianka”
 Klasa „C”
 Opiekun-M.P.K.
 Boisko sportowe - Lwów-Kulparków



Siedzą:

1- MAKSYMOWICZ STANISŁAW
 2- REWEL WŁADYSŁAW
 3- ŻARNOŃSKI STANISŁAW

Od Lewej:

4- KAMIŃSKI EDWARD
 5- STACHNIEWICZ TADEUSZ
 6- SZWEL TADEUSZ

Kierujący:

Stoja

7- SIKORSKI	KAZIMIERZ
8- WŁONA	BOLESŁAW
9- PÄRKEHARD	EMIL
10- OŁESZCZUK	PINKO
11- KÄISSE	JAN

Na Nowy Rok 2015

Wszystkim Czytelnikom, Autorom, Dobrodziejom,
Współpracownikom i Przyjaciółom
naszego Kwartalnika, naszego Towarzystwa
oraz ich Rodzinom
składamy serdeczne życzenia zdrowia, pomyślności
i dobrych nadziei.

Niech ten rozpoczęty rok przyniesie
tak bardzo oczekiwane zmiany na lepsze
w życiu naszego Kraju, zjednoczonej Europy
i całego świata.

Szczególne życzenia kierujemy do naszych Rodaków,
odciętych od Macierzy jałtańskim kordonem,
którzy tak bardzo narażeni są na niebezpieczeństwa
w toczącej się wojnie rosyjsko-ukraińskiej!

LISTA OFIARODAWCÓW (13)

na wspomnienie wydawnictwa kwartalnika CRACOVIA-LEOPOLIS

Alicja Graszewska, Kraków; Arpad Tadeusz Olszański, Warszawa; Helena Skarbińska,
Kraków; Miron Staszewski, Łazy; Tadeusz Tomasiuk, Dokudów; Jerzy Wolańczyk,
Rokietnica. **Ofiarodawcom serdecznie dziękujemy.**



Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej
Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa.

Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, Autorów i własnym.

Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Anna Madej, Krystyna Stafińska, Barbara Szumska, Danuta Trylska-Siekańska,
Marta Walczewska, Janusz Paluch, Ireneusz Kasprzysiak, Andrzej Chlipalski (red. nacz.)

Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl

Informacje o kwartalniku CL: Barbara Szumska, tel. (12) 633 45 23, kom. 695 334 523

Konto bankowe naszego Oddziału TMLiKPW w Krakowie:

53 1020 2892 0000 5002 0121 7918

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, e-mail: fall@fall.pl

Druk: Know-How, 31-348 Kraków, ul. Chełmońskiego 255, tel. (12) 622 85 60

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiestacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania
śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

Okładka			
ANTENY PR NA PLACU POWYSTAWOWYM	I	Wiersze	
		Stefi Stojalowska	
		SERET ♦ CZARODZIEJSKA KRAINA ♦	
Słowo od redakcji		TABU MOJE ♦ Z CYKLU „PODOLE”	49
POLSKIE RADIO LWÓW ŻYJE W PAMIĘCI	II		
AFISZ POLSKIEGO RADIA LWÓW	1	Proza	
		Jan Parandowski	
Polskie Radio Lwów		ZNAKOMITY PISARZ O WIELKIM UCZONYM	50
Krzysztof Jasiewicz			
KRESY WSCHODNIE JAKO TERYTORIUM...	2	Książki ♦ Czasopisma	
		NOWE KSIĄŻKI	53
Tadeusz Stec		WERTUJĄC WYDAWNICTWA	57
ZE SZCZEPKIEM I TONKIEM NA WOJENNEJ	4		
LWOWSKIEJ FALI		Od Wołynia po Karpaty	
Jan Krzysztof Petry		CHÓR MARIAŃSKI NA WOŁYNIU	58
WSPOMNIENIE O JULIUSZU PETRYM	10		
Tadeusz Fabiański		Sylwetki	
SYLWETKI FALOWCÓW	20	FRANCISZEK DOPPLER	59
		ŁAWECZKA BANACHA...	59
Rozmowy		Wschód i zachód	
Janusz M. Paluch		List Federacji Organizacji Kresowych	60
ROZMOWA Z TERESĄ PAKOSZ	38		
GRATULACJE DLA KSIĘDZA PROFESORA		Archiwum	
JÓZEFA WOŁCZAŃSKIEGO	42		60
ks. Rafał Zborowski		Listy do redakcji	
WOLNOŚĆ I POKÓJ TO WIELKIE WARTOŚCI	43		61
Radosław Janica		Errata	
MODLITWA WIERNYCH	45		63
W Krakowie i dalej		LKS Lwowianka	
Krystyna Ungeheuer-Mietelska			64
LWOWIANIN PATRONEM...	46	Życzenia na Nowy Rok 2015	III
Z kroniki żałobnej	48	Lista Ofiarodawców	III